

SPOTKANIA ŚWIRZAN

Nr 3 (150)

LUBIN

2021 r.



**Eugeniusz Potapow. Zamek w Świrzu, 2011. Olej, płótno.
Redakcja dziękuje Autorowi za pozwolenie przedruku
obrazu.**

Szanowni Krajanie,



grudniu 2020 r. ukraiński parlament zatwierdził zaproponowaną przez ukraiński rząd listę rocznic historycznych, które zostaną uczczone w przyszłym roku na Ukrainie na szczeblu państwowym. Wśród wymienionych wydarzeń znalazła się 110. rocznica urodzin Romana Kłaczkiwskiego, głównodowodzącego Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) na Wołyniu, głównego organizatora rzezi wołyńskiej w latach 1943-1944. W załączniku do uchwały parlamentu Kłaczkiwski został nazwany „wojskowym i politycznym działaczem, organizatorem i pierwszym dowódcą UPA, jej kierownikiem na Wołyniu i uczestnikiem walk o niepodległość Ukrainy w XX wieku”.

Zaś na początku tego roku, we Lwowie, jak co roku, uroczystości rocznicy urodzin Bandery miały charakter oficjalny. Odbyły się pod pomnikiem Bandery, gdzie przedstawiciele władz miasta i obwodu lwowskiego (w tym gubernator obwodu M. Kozyczyk, politycy, działacze społeczni i reprezentanci duchowieństwa greckokatolickiego) złożyli kwiaty.

Może przypadkowo portal *Kresy24.pl* przypominał wydarzenie sprzed trzech lat: W sobotę na ścianie Konsulatu Honorowego Ukrainy w Rzeszowie ktoś czerwoną farbą wymalował obraźliwe napisy: „Ukraina = OUN – UPA, Waffen SS Galizien”. Zdaniem wielu komentatorów napis w kontekście działań polityków ukraińskich nie wywołuje nienawiści na tle narodowościowym.

Lubin, kwiecień 2021 r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 150

Str.

3. Kartka z pamiętnika. I. Karten. Sztuka przetrwania w lesie. Świrski obóz (V).
11. M. Błaszaków. Oddałś życie...
12. Ł. Adamski. Zbrodnia wołyńska a relacje polsko-ukraińskie. Anatomia problemu.
18. Wystawa rolna w Przemyślanach - 1874 r.
21. K. Kopociński, Z. Kopociński. Wyrzekanie się polskiej tożsamości kresowej na tle narastania kultu ludobójców na Ukrainie - dalekosiężne skutki i zagrożenia (I).
27. St. S. Nicieja. Świrz. Od generałówny do generałowej (II).
33. L. Cyganik. Porucznik z Kimirza (II).
40. J. Wyspiański. Wykaz ofiar zbrodni popełnionych przez nacjonalistów ukraińskich na osobach narodowości polskiej w pow. Przemyśły (XXXV).

Kartka z pamiętnika

Izydor Karten

Sztuka przetrwania w lesie. Świrski obóz (cz. V)

Rozdział 5. Historia Julii.

Dziadkowie Julii zmarli, gdy jej matka, Berta, była bardzo młoda, a ona i jej siostra Roze zostały wychowane przez wuja w Wiedniu. Edukacja, którą otrzymały w Wiedniu, była znacznie lepsza od tego, co mogły uzyskać w swoim małym miasteczku w Galicji. Wróciły do Galicji, gdy ich wuj zmarł, a matka Julii poślubiła Mojżesza, młodego inżyniera z browaru. Miał dobrą robotę w Milatyczach, wsi leżącej w odległości 18 km od Lwowa. Mojżesz i Berta byli bardzo dobrymi rodzicami córek. Jako intelektualiści chcieli dać córkom najlepszą edukację, więc posłali je do prywatnej szkoły we Lwowie. Szkoła była bardzo kosztowna, a płace w Polsce były tak niskie, że niewielu było na to stać. Niemniej jednak, rodzice Julii utrzymali dziewczęta w prywatnej szkole aż do czasu rozpoczęcia wojny.

Rosjanin, bezpośredni szef ojca Julii w browarze, zaoferował przewiezienie go do Rosji, aby uciekł przed niemiecką armią. Odmówił mu, bo szef miał słabą opinię o systemie komunistycznym i nie wierzył, że naród, który był formowany jak Niemcy, mógłby zmienić się w dzikie zwierzęta lub coś gorszego. Właścicielem browaru był bogaty ukraiński właściciel ziemski. Był przyzwoitym człowiekiem i miał wielki szacunek dla ojca Julii. W 1939 r., gdy Rosjanie zajęli tę część Polski, uciekł i zostawił wszystko, ponieważ komuniści aresztowali wszystkich kapitalistów, konfiskowali majątki a właścicieli wysyłali na Syberię.

Kiedy armia niemiecka podbiła Polskę, zajęła resztę kraju i pogoniła Czerwoną Armię w głąb Rosji, ukraiński ziemianin wrócił i ponownie przejął browar. Obiecał utrzymać ojca Julii na stanowisku, ale w końcu nie był w stanie tego zrobić, gdyż Niemcy zaczęli gromadzić wszystkich Żydów w gettach. Rodzina Julii została przeniesiona do getta w Bóbrce.

W tym czasie Julia mieszkała z ojcem i matką na ciasnym poddaszu wraz z innymi rodzinami. W wieku 16 lat zgłosiła się na ochotnika zamiast swojej starszej siostry, która była bardzo nieśmiała, aby wykonywać prace polowe w majątku, który przez Niemców został skonfiskowany Polakowi. Tam Julia poznała żydowską kobietę, mieszkającą w sąsiedniej wiosce, która zaproponowała jej wyjście nocą z getta, i udanie się do rolników, aby wymienić ubrania na mąkę i wazywa. Rodzice bardzo niechętnie pozwolili jej odejść, ale nie mieli wyboru, a Julia nalegała, że chce pójść. Razem przeszły do wioski Milatycze, w której

znajdowała się bogata firma browarnicza, niedawne miejsce pracy jej ojca. Weszła przez tylne drzwi rezydencji właściciela i w jakiś sposób dała mu znać, że tam jest. Celem podróży było nie tylko zdobycie jedzenia, ale także sprawdzenie, czy on może im pomóc i wyprowadzić z getta, jak obiecał.

Kiedy właściciel ziemski zobaczył Julię, miał różne uczucia. Obawiał się gestapo, które właśnie znajdowało się w jego domu, ale był szczęśliwy, że żyje, ponieważ bardzo lubił jej ojca i ją traktował tak samo. Po zapytaniu o stan ojca i matki, powiedział, że choć nic nie mógł zrobić aby pomóc, spróbuje jeszcze raz. Swoim sługom rozkazał, aby przygotowali dla niej jedzenie.

Miała jeszcze tyle czasu, aby odwiedzić dom zajmowany przez jej rodzinę. Powrót był bardzo smutnym przeżyciem. Gdy weszła do domu i zaczęła się rozglądać, przypomniawszy sobie, że zanim wyjechali do getta, matka zaczęła ukrywać złote kosztowności w szlafrokach każdego członka rodziny. To były oszczędności ich życia, ale jedna moneta upadła na podłogę, a matka nie mogła jej znaleźć. Julia zaczęła patrzeć pod wszystkie meble i wreszcie znalazła złotą sztukę, rosyjską monetę dziesięciorublową. Była tym bardzo podekscytowana wiedząc, jak matka będzie szczęśliwa ze znalezionej monety, a dodatkowo z jej powrotu z produktami spożywczymi: ziemniakami, mąką, jajkami i warzywami. To było fortuną i pomocą dla ludzi w getcie.

Ładunek, z jakim Julia wróciła do getta, prawie równał się jej wadze, i niesamowite jest to, że młoda dziewczyna musiała to przenieść na odległość 18 km. To odzwierciedlało nie tylko jej wolę przetrwania, ale także miłość, jaką miała dla ojca, matki i siostry. Julia była najmłodsza w rodzinie i dokonała bohaterskiego czynu. Wieczorem wracała wraz ze starszą kobietą, pełna dumy i strachu. Kiedy zbliżyły się do miasta było już rano. Poznani nie-Żydzi powiedzieli im o wydarzeniach w getcie w czasie ich nieobecności.

Wczesnym rankiem, kiedy było jeszcze ciemno, przybyły specjalne oddziały SS, otoczyły getto i zabrały dużą liczbę Żydów. Niemcy niektórych zastrzelili na miejscu, reszta została załadowana do bydłych wagonów i skierowana do Bełżca, aby ich zagazować, a następnie spalić w krematorium. Dworzec kolejowy znajdował się prawie 6 km miasta, a Niemcy nakazali wszystkim Żydom, aby tam szli. Byli głodni i nieludzko pobici, niektórzy byli boso. [1]

W getcie strzelano do małych dzieci, kobiet, starych i chorych, którzy nie mogli chodzić. Ludzie, którzy zostali załadowani do wagonów, ledwo mogli stać. Beznadziejna męka trwała od dwóch do trzech dni, a po drodze jedna trzecia zmarła, zanim dotarła do Bełżca. Po przybyciu do Bełżca, Niemcy rozkazali żyjącym rozebrać się, a następnie prowadzili do komór, gdzie zostali zagazowani. Później ciała układali w stosy i palili. Zrabowane ubrania Żydów Niemcy wysyłali do Niemiec.

Kilkuset osobom udało się w getcie znaleźć kryjówki lub zdążyli uciec

i ukryć się poza gettem. Niestety, rodzina Julii nie miała takiego miejsca, aby się ukryć, z wyjątkiem poddasza ich domu. Niemcy znaleźli ich, zamordowali matkę na miejscu, a jej ojca i siostrę zabrali do wagonów.

Jednak wielu niewierzących w Holocaust i rewizjoniści mogą próbować przekonywać ludzi, że to się nigdy nie zdarzyło, nawet dokładność, z jaką Niemcy przeprowadzili wszystkie te masakry i ich technikę, aby ukryć to wszystko. Niektóre osoby jednak przetrwały i opowiadają historię potwornych zbrodni. Nigdy nie byłem [na stałe - J.W.] w obozie lub getcie, ale z pomocą moich polskich przyjaciół, zgromadziłem wszystkie te informacje. Wszystko jest prawdziwe i poparte dowodami.

Między drugą a trzecią „akcją”, czyli przed ostateczną likwidacją getta, Julia wróciła do getta i była sama. Udało jej się znaleźć dobrą rodzinę, która pozwoliła jej żyć z nimi w zamian za zapłatę. Mieszkała tam w bardzo małym mieszkaniu z dziesięcioma innymi ludźmi. Od przepełnienia, niedożywienia, braku lekarzy czy lekarstw, w getcie szerzył się tyfus. Ludzie umierali tuzinami, a Julia zachorowała na tyfus plamisty. Została zabrana do szpitala miejskiego, gdzie oddzielili chorych Żydów od chorych nie-Żydów. Tyfus był śmiertelną chorobą, a bez odpowiedniego leku gorączka była zazwyczaj śmiertelna. Po dwóch tygodniach wysokiej gorączki Julia zaczęła majaczyć. Marzyła, że jej rodzice



Izidor Karten w świrskim lesie, lato 1942 r.
Zdjęcie pobrano z: I. Karten, *Survival in the forest*.

przyszli, aby ją ratować, ale w rzeczywistości był to lekarz rosyjski, prawdopodobnie zabrany z armii rosyjskiej do pracy w tym szpitalu. Przeniósł Julię do sali dla nie-Żydów i kazał jej milczeć. Godzinę później Niemcy przyjechali do szpitala, zabrali wszystkich chorych Żydów na plac szpitalny, położyli ich na

ziemi i zastrzelili. Do dziś Julia nie wie, dlaczego Rosjanin postanowił ją uratować. Kilka dni później poczuła się lepiej i wróciła do getta, albo po tym, co zostało w nim po drugiej „akcji”.

Wtedy Julia miała 17 lat, bez rodziców i innych krewnych. Bohatersko udało się przetrwać dwie „akcje”, a po każdej z nich coraz mniej Żydów było w getcie.

Jak już wcześniej opisywałem, chodziłem z getta do getta [z *Przemysłań do Bóbrki* - dop. J.W.], wzywając ludzi do lasu, wyjaśniając im, że to jedyne słuszne rozwiązanie. Za małe pieniądze mogliśmy kupić karabiny, amunicję, a nawet karabiny maszynowe od armii węgierskiej. Niektórzy z nas przynajmniej przetrwali. Ja wraz z moim bratem Herschem przeżyłem dziewięć miesięcy w lesie i spotkałem Julię, miłość mojego życia.

Ludzie nie traktowali mnie poważnie. Ci z pieniędzmi nie chcieli się z tym pogodzić, a zamiast tego słuchali plotek, że Niemcy nie zabijają więcej ludzi. Inni mówili, że następnym razem przybędą do lasu, więc zostawiłem im plan dojścia do naszego obozu. Przekazałem im również, którzy rolnicy są lojalni, a których powinni unikać. Większość młodych Żydów, którzy powiedzieli „następnym razem”, nigdy nie przeżyła getta.

Na dwa dni przed Paschą odbyła się trzecia i ostatnia „akcja” w getcie bóbreckim, tym razem likwidacyjna. Na szczęście, Julia ukrywała się z ludźmi w specjalnie wybudowanym schronie, leżącym poza ogrodzeniem getta. Schron został zbudowany przez żydowskiego zegarmistrza, pana Kirshnera, który zajmował się naprawą zegarków niemieckim policjantom. Pewnego dnia, przeszukując mieszkania, Niemcy chodzili ciężkimi butami nad tajnym schronieniem, gdzie ukrywało się siedmioro ludzi. Kirshner zaprojektował schron, aby ukryć dziesięcioletnią córkę i czteroletniego syna, bo reszta rodziny wcześniej została zabrana do Bełżca.

Dzień później, po południu, gdy w mieście się uspokoiło, Kirshner wysłał swoją córkę, aby zobaczyła, co się dzieje na zewnątrz. Biedna dziewczynka nigdy nie wróciła. Rozpoznała ją policja, a raczej policja ukraińska, złapała i oddała Niemcom.

Wkrótce potem Kirshner nie wytrzymał bólu i wyszedł ze schronu z szaleńczym pomysłem sądząc, że jeśli Niemcy mają jakieś zegarki do naprawy, to kupi trochę czasu. Niestety, gdy mały chłopiec zobaczył, że ojciec wychodzi, zaczął płakać, że chce iść z nim. Żadna z prośb Kirshnera, że powinien zostać, nie pomogła, i chłopiec w końcu wyszedł z ojcem. Kirshner był rzeczywiście trzymany przez Niemców w celu naprawy zegarków, ale chłopca zabrali do więzienia, gdzie policja niemiecka zgromadziła złapanych Żydów bądź próbujących uciec. Co kilka dni, kiedy mieli ich wystarczającą liczbę, zabierali za miasto, ustawiali nad dołami z wapnem i rozstrzeliwali.

Kiedy Kirshner wrócił z naprawiania zegarków, powiedział do ludzi w schronie, że miasto jest w końcu *Judenfrei*, a jeśli pojawi się jakiś Żyd, to zostanie zastrzelony. Tej nocy Julia i reszta Żydów ze schronu pobiegła przez pola do innego miasta, oddalonego o 25 km, gdzie wciąż było getto [*Przemysłany - dop. J.W.*]. Ale ono nie działało zbyt długo. Sześć tygodni później „oczyszczono” również i to miasto z getta. Kiedy przekazywali nam relacje następnego dnia w lesie, byliśmy bardzo źli na cały świat i na Boga. Nigdy nie przestaliśmy pytać „Dlaczego?”

Pewnego ranka zbliżyłem się do miasta, w którym nadal istniało ostatnie getto. W nocy przeszedłem ponad 17 km i byłem w odległości 500 metrów od wejścia do miasta, gdy usłyszałem straszliwe strzały. Gestapo i miejscowa policja strzelało do Żydów, którzy próbowali ukryć się lub uciec z getta. Rozdzielili Żydów, którzy mogliby pracować od starych i chorych, a kilku gestapowców z kabinami maszynowymi zabrało ich do pobliskiego obozu pracy w Kurowicach. Co do reszty, zabrali ich poza miasto, gdzie rozstrzeliwali. Niektórzy zostali pogrzebani żywcem. Mieszkańcy patrzyli i nic nie mówili. Wielu wierzyło, że nic nie widzą. Kilku nie-Żydów ukryło Żydów na jeden dzień. [2]

Julia była jednym z ocalałym. Uciekła z getta do zabudowań rolnika i ukryła się w drewnianej stodole. Pies był przywiązany długim łańcuchem do fundamentu stodoły i Julia zawarła z nim pokój karmiąc go chlebem zabranym dla siebie. Ukrywała się tam przez cały dzień i z ukrycia widziała biegających Niemców i szukających Żydów. Niektórzy Żydzi ukrywający się w sianie na szczycie stodoły zostali złapani, ale Julia, wraz ze swoimi dwoma towarzyszami, przeżyła. Mam nadzieję, że niektórzy młodzi Niemcy czytając to, czują się dumni z tych dorosłych i dowiedzą się prawdy.

Kiedy się ściemniło, Julia i jej towarzysze wyszli z ukrycia, ale rolnik zauważył ich. Pochwalili go, że jest dobrym Polakiem, a Julia dała mu złotą monetę otrzymaną od matki, żeby milczał.

Zaraz po masakrze w getcie Niemcy zaczęli penetrować wioski w poszukiwaniu zbiegłych Żydów, dlatego przez kilka dni nie mogliśmy się pokazać w Miasteczku [*Świrzu - J.W.*] ani w sąsiednich wioskach. Polak ukrywający Julię i innych zaczął się denerwować, bo jego żona nie była tak liberalna jak on. W związku z tym znalazł rolnika, którego gospodarstwo było bardziej ustronne od innych, a on zabrał ich za pieniądze. Kilku sprawiedliwych nie-Żydów trzymało Żydów za pieniądze, aby pomóc pokryć wydatki, ale jednocześnie zagrażali sobie. Rodzice Julii podzielili wszystkie złote monety wśród członków rodziny, a Julia nadal miała ich dość dużo, aby rolnik ukrywał ich przez dwa miesiące. Przydzielone monety pomogły Julii uratować się jej kilka razy. Była twarda i bardzo odważna.

Dwa miesiące po tym, jak Julia i jej towarzysze ukrywali się, stało się coś

straszego. Na obrzeżach miasta Niemcy odkryli dwie żydowskie kobiety i małe dziecko ukrywane przez polskie małżeństwo. Niemiecka policja, wraz z ukraińską, zabiła ich na miejscu, udowadniając, jak dzielnie walczyli na wojnie. Rodzina, która ukrywała Julię i jej przyjaciół, poprosiła ich, aby opuścili kryjówkę i szukali podziemia żydowskiego, co nie było takie łatwe. Potem Julia przypominała sobie o moich wskazówkach - jak powinna dojść do wioski i szukać polskiego przyjaciela, który pomógłby jej znaleźć mnie w lesie.



Ślub Julii Grossberg i Izydora Kartena, lato 1943 r.

Uroczystość prawdopodobnie odbyła się w polskim domu znajdującym się w Ządębnie. Możliwe, że pośród osób widocznych na fotografii są również Polacy.

Zdjęcie pobrano z: I. Karten, *Survival in the forest*.

Było lato i pszenica już wyrosła na tyle wysoko, że Julii i towarzyszom udało się w niej ukryć w ciągu dnia, a w nocy szukać pożywienia. Szczęście działa w tajemniczy sposób. Nasze podziemie nie było jeszcze zbyt duże, ale ukrywaliśmy się w nadludzkich warunkach, z kilkoma kobietami, dziećmi i kilkoma starszymi osobami. Nasi ludzie nie chodzili indywidualnie szukać żywności,

gdyż było to bardzo niebezpieczne. Mogli być łatwo zauważeni i złapani. A jeśli zostaliby złapani, to przed rozstrzelaniem byłiby przesłuchiwani i zmuszeni do ujawnienia miejsca ukrywania się, gdzie był ich schron.

W tym czasie dwóch innych braci przyłączyło się do Herszka i mnie w lesie, co wiązało się z większą odpowiedzialnością w znalezieniu źródeł żywności dla nas. Mieliśmy kontakty z Polakiem, które pozwalały na kupowanie chleba i gazet podczas spotkania. Był dobrym człowiekiem, dopóki mógł zarobić trochę pieniędzy. Był też przyjacielem ze szkoły i był w armii polskiej. Pewnego wieczoru, gdy wszyscy siedzieliśmy na skraju pola pszenicy i czekaliśmy na niego, usłyszeliśmy jakiś podejrzany szelest. Zawsze byłem czujny, ale pomyślałem, że w tak ciemną noc, z dala od gospodarstw czy domów, jedynymi ludźmi znajdującymi się w pobliżu mogliby być tylko Żydzi. Zawołałem w jidysz: „Jesteśmy Amcha” („wasi ludzie”, nawróćcie się do Boga), co było naszym sygnałem dla innych Żydów. Julia i jej towarzysze wyszli na polanę, ubrani w lachmany, bardzo głodni i przerażeni. Byłem uradowany, widząc ją żywą. Poszli z nami z powrotem do lasu, oddalonego o jakieś 18 km.

Po zmroku bardzo byliśmy przyzwyczajeni do spacerowania między drzewami i krzakami oraz szukania naszej drogi w lesie. Każdy schron mieścił od sześciu do dziesięciu ludzi. Lepsze były wyposażone w piece i metalowe rożna do gotowania. Byliśmy tak zorganizowani, że bardzo rzadko ktoś był głodny. La-tem drewniane szałaszy były zbudowane nad ziemią i pokryte liśćmi, aby chronić wnętrze przed deszczem. W zimie kopaliśmy je w ziemi, a na górze, nad ziemią, były kamuflowane i izolowane liśćmi, piaskiem i gałęziami. Te ostatnie chroniły nas przed ciężkimi polskimi zimami. Śnieg pokrywał ziemię od listopada do połowy kwietnia, o grubości czasami nawet na 90 cm. Roztopiony śnieg używaliśmy do picia i mycia. Najlepsza kąpiel była w zimie, kiedy zdjęliśmy nasze ubrania i zaczęliśmy się nacierać śniegiem, aż do rozgrzewki. Gdy nie byliśmy w stanie znaleźć dobrego miejsca na obóz w pobliżu strumienia, zgromadziliśmy wodę deszczową. Starając się znaleźć świeżą wodę, musieliśmy być bardzo ostrożni, aby zakrywać otwory naszych kryjówek.

Bardzo kochałem Julię, więc opuściłem schron, który zbudowałem, dzieląc się nim z moimi braćmi i innymi ludźmi. Wraz z kilkoma przyjaciółmi zbudowałem nowe schronienie i zabrałem Julię jako swoją żonę przed Bogiem. Oświadczyłem, że jest moją żoną „zgodnie z Prawem Mojżeszowym i Izraela” i dałem jej pierścień kupiony od jednego z moich braci. Dwóch świadków podpisało Ketubę i napisałem umowę małżeńską, bo znałem język hebrajski. Wreszcie byliśmy razem i dziękuję Bogu, że pozostaliśmy tak aż do dzisiaj. Julia nadal nosi pierścień otrzymany 47 lat temu. [3]

Ojciec Julii miał dwie siostry. Jedna żyła w Żółkwi, mieście liczącym około 4000 Żydów. Ona, wraz z mężem i rodziną, z wyjątkiem jednej córki, która

przed wojną wyemigrowała do Izraela, zginęła w czasie Holocaustu. Druga siostra wyemigrowała do Izraela przed wojną z córką, Lolą Sombol, zięciem, Moshe Sombolem i dwoma wnuczkami, Jakowem i Szoszaną. Osiedlili się w Hajfie, trzecim co do wielkości mieście w Izraelu.

Tuż po wojnie, w 1945 r., ocaleni polscy Żydzi, którzy wrócili z Rosji i ocaleni z obozów koncentracyjnych, w kilku miastach w Polsce, zorganizowali komisje i zaczęli rejestrować ocalałych. Były listy krewnych z innych części świata, a Julia dowiedziała się, że jej kuzyn przeżył i mieszkał w Hajfie.

Matka Julii miała również dwie siostry, z których jedna mieszkała w Brukseli. Druga siostra przeniosła się do Lubaczowa i tylko jeden z jej synów, Harry, z sześciorga dzieci, przeżył, ponieważ uciekł z Armią Czerwoną do Rosji. Jego żona, Rushka, również przeżyła, gdyż przyłączyła się do rosyjskiej rodziny, uciekającej pod naporem armii niemieckiej. Dopiero po trzech latach spotkali się w Rosji. W roku 1945 r. mieszkał we Wrocławiu przez trzy lata z synem Józefem, który urodził się w 1945 roku w Lwowie. Potem po wielu trudach dotarli do Izraela, gdzie mieszkali w małym miasteczku Gedera aż do 1961 roku.

Cdn.

[1] Autor prawdopodobnie opisuje okoliczności towarzyszące pierwszemu transportowi Żydów z getta bóbreckiego z 12 sierpnia 1942 r. Wówczas Sipo ze Lwowa przy pomocy miejscowych żandarmów i ukraińskiej policji wywoziło 1260 osób a około 200 zabiło na miejscu. Dop. J.W.

[2] Zapewne chodzi tu o początek likwidacji przemysłańskiego getta - 22.05.1943 r. Zakończono ją 28.06.1943 r. Dop. J.W.

[3] Ketuba - prawny kontrakt zawierany przed ślubem przez narzeczonego. Na jego mocy mężczyzna zobowiązuje się dbać o przyszłą żonę, spełniać powinności małżeńskie, zapewniać jej utrzymanie, a w razie rozwodu wypłacić jej określoną w kontrakcie rekompensatę. Dokument zapewniał także małżonce pierwsze miejsce na liście spadkowej w razie ewentualnej śmierci męża. Kontrakt musiał być spisany w obecności dwóch świadków niespokrewnionych z młodymi oraz ze sobą. Dop. J.W.

Przeszłość to jest dziś, tylko cokolwiek dalej.

Cyprian K. Norwid

Michał Błaszczów

Mieczysławowi Kawalcowi

Oddałeś życie...

Oddałeś życie za Ojczyznę,
za polską mowę, szczęście innych.
Za krew przelaną i za blizny
Jak Ty - straconych i niewinnych.
Oddałeś życie za lud wolny,
Za jego swobodę - dnie spokojne,
Za ciche noce, piękne ranki,
Za miły uśmiech swej wybranki.

Za wolność, wolność aż z przestworzy...
Za ziemię - którą rolnik orze.
Niech się raduje polskim niebem
Praojców ziemia - naszym chlebem.

Dla szczęścia, chwały i godności
Jedną przysługę jemu zrób:
Odszukaj ten nieznany grób,
A w nim niewinne jego kości.

Weź je ze sobą w swoje ręce
I zanieś tam, gdzie ojców zwłoki...
By jako żołnierz, jak w piosence
Mógł w Trzcianie spocząć nad Potokiem.

Tu jego dusza utęskniona
Bólem twe serce często targa,
A szept wysmukły jak ramiona
Szuka współczucia na Twych wargach.

Ciężkie to dni w kibitkach-korcach
Powiedz to dzisiaj wszystkim śmiało:
Najcięższym dniem to Pierwszy Marca!
W tym dniu mu serce bić przestało.

Wiersz znajduje się we wspomnieniach Michała Błaskowa - *Weź ten klucz...*, str. 134

Red. Ciekawy tekst zawierający analizę stosunków polsko-ukraińskich znajduje się na portalu www.kresy24.pl.

Łukasz Adamski

Zbrodnia wołyńska a relacje polsko-ukraińskie. Anatomia problemu

Co jest przyczyną tego, że zbrodnia ta urosła do symbolu nieporozumień polsko-ukraińskich? Ogniskuje się w niej co najmniej kilka problemów: spór historyków o interpretację źródeł z okresu 1943-1945, konflikt zadomowionych w ukraińskiej, zwłaszcza zachodnioukraińskiej, i polskiej kulturze narodowej interpretacji przeszłości, oraz powierzchowna znajomość uwarunkowań politycznych i mentalnościowych u sąsiada, skutkująca opacznym odbiorem jego intencji i łatwym wybuchem emocji.

Co się stało na Wołyniu?

Do pierwszych napaści na polskie wioski na Wołyniu doszło czwartej zimy drugiej wojny światowej. 9 lutego 1943 r. sotnia UPA - formowanej od końca 1942 r. partyzanckiej formacji banderowskiej frakcji Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów - wymordowała przy pomocy noży i siekier stu kilkudziesięciu polskich mieszkańców kolonii Parośla w powiecie sarneńskim. Od końca marca tego rodzaju napady, dokonywane przez oddziały UPA, powtarzały się, obejmując coraz to nowe połacie wschodniej części województwa wołyńskiego, po czym zaczęły się przesuwac w stronę zachodu, docierając w sierpniu 1943 r. do powiatu lubomelskiego, położonego w bezpośrednim sąsiedztwie Bugu. Kulminacja rzezi nastąpiła 11 lipca 1943 r. Przeprowadzono wtedy napady na blisko sto polskich wiosek. Schematy powtarzały się - napadów dokonywali członkowie UPA, czasem w towarzystwie chłopów, dobrowolnie pozyskanych bądź przymuszonych do udziału w „antypolskiej akcji”. Po podpaleniu wsi przystępowano

do mordowania ich mieszkańców, najczęściej przy pomocy różnego rodzaju narzędzi rolniczych lub z gospodarstwa domowego. Oznacza to, że część ofiar przed śmiercią zaznawała isticie piekielnych tortur.

Jesienią 1943 r. intensywność ataków zaczęła spadać, a wiosną 1944 r., wraz z zajęciem Wołynia przez Armię Czerwoną, ataki ostatecznie się skończyły. Rozpoczęły się one natomiast w Galicji, podówczas jeszcze pod kontrolą niemiecką. Trwały one tam aż do pierwszych miesięcy 1945 r. W odniesieniu do tego regionu dysponujemy pisemnym rozkazem centralnego kierownictwa OUN, z Romanem Szuchewyczem na czele, brzmiącym tak: „z uwagi na oficjalne stanowisko rządu polskiego w kwestii współpracy z Sowietami, z naszych ziem Polaków należy usuwać. Proszę to rozumieć tak: nakazać ludności polskiej przesiedlić się na czysto polskie ziemie. Jeśli tego nie zrobi, to wysłać bojówki, które będą likwidować mężczyzn, a chaty i majątek palić (rozbierać). Zwracam przy tym jeszcze raz uwagę, aby najpierw Polaków wezwać do opuszczenia ziemi, a dopiero potem ich likwidować, a nie na odwrót (proszę zwrócić na to szczególną uwagę)”.

Ludność polska, skupiając się w miastach, czy większych wsiach, łatwych do obrony, utworzyła tzw. samoobrony, które korzystając ze wsparcia AK, a czasem sowieckich partyzantów, a nawet cichej osłony ze strony niemieckich garnizonów, broniły się przed napastnikami. Co więcej, część Polaków zgrupowała się w swoje bojówki, które w większości potem wchłonęła AK. Ludzie, których bliscy zostali zamordowani, motywowani chęcią zemsty lub zapobieżenia kolejnym napadom zaczęli palić ukraińskie wsie i mordować ich mieszkańców.

W rezultacie mordów na Wołyniu zginęło, według obliczeń takich polskich badaczy jak Ewa Siemaszko czy Grzegorz Motyka, około 50-60 tys. Polaków, w Galicji zaś - według Grzegorza Hryciuka - około 20-25 tys., co w połączeniu z kilkunastoma tysiącami ofiar w dzisiejszej Polsce wschodniej - gdzie w 1944 r. również rozgorzały walki - daje to liczbę dochodzącą do 100 tys. polskich ofiar rzezi. Do tych szacunków należy doliczyć parę tysięcy ukraińskich ofiar polskiego odwetu na Wołyniu i w Galicji, tudzież kolejnych kilka tysięcy starć na obszarze Lubelszczyzny i Podkarpacia, co razem daje od kilku do kilkunastu tysięcy ukraińskich ofiar rzezi.

Liczb tych nie należy przy tym traktować z matematyczną dokładnością, gdyż tylko część ofiar udało się zidentyfikować z imienia i nazwiska, na podstawie relacji świadków, zbieranych po kilkadziesiąt lat od krwawych wydarzeń. Ponadto zarówno w gronie ofiar polskich, jak i ukraińskich mogły się znaleźć ofiary pacyfikacji, zbrodni wojennych przeprowadzanych przez jednostki niemieckie lub podległe niemieckiej władzy okupacyjnej, czy też bandytyzmu ideologicznie niemotywowanego.

Dotychczas historykom nie udało się odnaleźć rozkazu nakazującego

przeprowadzenie czystki etnicznej na Wołyniu. O jego istnieniu mówił w zeznaniach złożonych po wojnie NKWD Jurij Stelmaszczuk, jeden z wołyńskich dowódców UPA, odpowiedzialnych za mordy. Miał go wydać Dmytro Klaczkiwski, dowódca okręgu UPA - Wołyń. Na jego istnienie wskazuje też poziom zorganizowania fali mordów. O sprawstwie UPA mówią też raporty sowieckich partyzantów operujących na Polesiu i Wołyniu z wiosny 1943 r., a po okresie wahań co do sprawstwa - również dokumenty polskiego rządu, rezydującego w Londynie.

O ile pod powyższym opisem podpisałby się prawie każdy polski badacz zajmujący się tym problemem – spory zaś może budzić jedynie liczba ofiar - to spośród ukraińskich historyków drugiej wojny światowej dominują tezy zgoła inne. Dwóch badaczy średniego pokolenia W. Wiatrowycz i I. Patrylak promuje tezę o „wojnie polsko-ukraińskiej”. Miała się ona rozpocząć w niekontrolowany sposób, a większa liczba ofiar po stronie polskiej uzasadniana jest mniejszą liczebnością polskiej społeczności na Wołyniu. Kwestionują oni nie tylko zorganizowany charakter mordów, ale i przydatność zeznań Stelmaszczuka, wymuszonych, jak twierdzą, przez NKWD. Przez to, że zajmują eksponowane funkcje publiczne - Wiatrowycz jest byłym dyrektorem ukraińskiego IPN, obecnie deputowanym do parlamentu, a Patrylak dziekanem największego wydziału historycznego na Ukrainie na Uniwersytecie Kijowskim - poglądy ich w ostatnich latach stały się podstawą ukraińskiego dyskursu medialnego o Wołyniu i stanowiska dyplomacji. Z kolei inny ukraiński badacz, B. Hud', lansuje tezę, odwołującą się do doświadczeń historycznych - rabacji galicyjskiej z 1846 r, a potem okresu rewolucji 1917-1920 r. - twierdząc, iż rzeź wołyńska została wywołana przez samych chłopów ukraińskich, a potem wypadki potoczyły się w sposób niekontrolowany. Problem polega na tym, że o ile nikt nie kwestionuje, iż w niektórych przypadkach chłopci uczestniczyli w napadach (a w innych ratowali od napadów polskich sąsiadów), to nieznany jest dotychczas przypadek wymordowania wioski, gdy chłopci sami dokonali napadu bez współudziału UPA.

Skąd negacjonizm?

Argumenty ukraińskich historyków, kwestionujących opinie polskiej historiografii, mogą wynikać z niezdolności do przezwyciężenia siły oddziaływania psychologicznego mechanizmu obronnego, zwanego „wyparciem”, a więc odrzucania myśli czy poglądów, które mogą zagrozić spójności osobowości danej jednostki. Dla części historyków ukraińskich fascynacja „walką UPA z bolszewią” była pierwotna, a studia historyczne – jej pochodną. Niektórzy zaś negacjoniści mogą się kierować względami politycznymi.

Otóż na Ukrainie rola społeczna historyka - podobnie zresztą jak w Polsce - nie ogranicza się li tylko do rekonstrukcji przeszłości, opatrywanej ko-

mentarzem. W straumatyzowanym kraju, który odbudowuje swoją tożsamość po latach rusyfikacji i wzmacnia niepodległość w warunkach wojny z Rosją, walcząc jednocześnie z wysoką korupcją i demoralizacją życia społecznego, historycy często są przepełnieni misją publiczną - przywracaniem „prawdziwej historii Ukrainy”.

UPA reprezentuje najświeższą i najsilniejszą tradycję walki z Rosją, jest mocno zakorzeniona w pamięci historycznej zachodnich Ukraińców. W tej sytuacji uznanie, iż miała ona nie tylko heroiczne karty, a co gorsza – odpowiada za czystkę etniczną - wymaga nie tylko siły moralnej, ale i odwagi politycznej. Były przypadki niechęci mniej, czy bardziej nacjonalistycznie nastawionej części braci historycznej i opinii publicznej do historyków zajmujących inne niż „mainstreamowe” (*określenie aktualnie panującego trendu w historiografii - J.W.*) stanowisko względem Wołynia, a nawet blokowania z tego powodu ich karier czy małżonków.

Dochodzą do tego obawy, iż potępienie UPA za czystkę etniczną, a więc uznanie polskiego i - co gorsza - rosyjskiego stanowiska w tym przedmiocie osłabi motywację ukraińskich patriotów do przeciwdziałania agresji rosyjskiej, a wzmocni przeciwników ukraïnizacji życia publicznego, ze wszech miar pożądaną dla tego państwa.

Problem wynika jednak nie tylko ze stosunku do UPA. W ukraińskiej ideologii narodowej, rodem z XIX w., Polska funkcjonuje jako drugi - obok Rosji - sprawca nieszczęść Ukraińców. Po 1991 r., w wyniku odbudowujących się kontaktów społecznych i proukraińskiej polityki, nasz kraj zdobył reputację „dobrego łotra”, który się nawrócił i wspiera Ukrainę. Gdy jednak okazało się, że ów „łotr” nie tylko za takiego się nie uważa, ale zaczął mówić o mrocznych stronach ukraińskiego nacjonalizmu, a czasem wręcz kwestionować całokształt ideologicznych podstaw ukraińskiej historii narodowej, pojawił się szok i niedowierzanie.

Esencją tego konfliktu pamięci jest ocena obecności Polski na ziemiach, należących dziś do państwa ukraińskiego. Polscy badacze zazwyczaj podkreślają, iż etniczności nie należy utożsamiać z narodowością, a ziemie ruskie, należące dziś do państwa ukraińskiego, weszły w XIV-XVI wieku w skład Polski dobrowolnie, zaś dominująca tam ludność ruska z reguły to akceptowała, a wyższe warstwy z biegiem czasu utożsamiły się z narodem polskim w politycznym, wieloetnicznym rozumieniu tego słowa.

Podkreśla się pozytywy, które Ruś wyniosła z przynależności do Rzeczypospolitej, w tym udział w cywilizacji europejskiej. Historycy za Bugiem zwykle odwołują się do arbitralnego a metodologicznie karkołomnego kryterium „ukraińskich ziem etnicznych” i podkreślają zaborczy charakter polskiej władzy nad Ukrainą, a także ciągłość rozwoju ukraińskiej wspólnoty narodowej od

średniowiecza po czasy obecne.

Niektórzy promują też pojęcie kolonializmu. Wprawdzie w ostatnich latach ten „tradycyjny schemat ukraińskiej historii” zaczyna być coraz poważniej i intensywniej podważany, a „polskie” (nienacjonalistyczne) interpretacje przenikają środowisko młodszych historyków i intelektualistów, ale dzieje się to jednak głównie w środowiskach akademickich, a na szerszą opinię publiczną poglądy dziennikarzy, czy też na kształt podręczników szkolnych proces ten nie mają większego wpływu.

Wobec tego spór o interpretację Wołynia i jego przyczyn w jakiejś mierze dotyka sporu o to, czy Ukraińcy i Polacy byli sąsiadami w państwie polskim, czy też Ukraińcy byli gospodarzami ziemi wołyńskiej, a Polacy „przybyszami” (w prymitywniejszej wersji: kolonizatorami lub okupantami). Na Ukrainie można usłyszeć pogląd, że Polacy, „wałkując temat Wołynia”, pragną w istocie doprowadzić do tego, aby sami Ukraińcy potępiли swoje dążenia państwowotwórcze na „ukraińskich ziemiach etnicznych”.

Na to nakłada się jeszcze problem polityczny i prawny. W 2003 r. we wspólnym oświadczeniu Rady Najwyższej i Sejmu zostały potępione mordy popełniane przez formacje ukraińskie i polskie, bez nazwania konkretnie UPA. Dla większości osób zaangażowanych w realizację ukraińskiej polityki pamięci było to jedynym możliwym kompromisem. W Polsce z kolei, akceptując treść uchwały, przyjęto założenie, iż będzie ona wstępem do procesu rozliczania się Ukrainy z dziedzictwem totalitarnej UPA. Od tego czasu główną osią problemu jest dążenie Ukrainy do symetrii w kwestii potępienia zbrodni przeciwko Polakom i Ukraińcom, co jest po polskiej stronie odbierane jako pragnienie uznania UPA za ukraiński odpowiednik AK.

Nieskuteczne próby nakłonienia ukraińskich elit do uznania przynajmniej odpowiedzialności UPA za mordy, i zachowywanie „strategicznej cierpliwości”, w nadziei na to, że Ukraińcy, uporawszy się ze swoimi egzystencjalnymi problemami, rozliczą się sami z tą historią zradyzalizowało środowiska rodzin i ofiar wołyńskich. W rezultacie musiało wpłynąć na możliwości manewru polskich rządów w relacjach z Ukrainą.

Emocji dodawało tylko stosowanie przez kolejne rządy, a jeszcze bardziej przez część elit intelektualnych, eufemizmów w odniesieniu do zbrodni wołyńskiej, zamiast oczywistej prawnej kwalifikacji ludobójstwa. Było to odbierane jako frymarczenie pamięcią o ofiarach rzezi i radykalizowało środowiska „kresowe”, które utraciły zaufanie do proukraińskiej polityki kolejnych polskich władz. Jednocześnie na Ukrainie mało kto wśród osób zajmujących się problemem Wołynia w ogóle rozumiał, co oznacza termin Ludobójstwo w prawie międzynarodowym – a więc niekoniecznie synonim chęci zagłady całego narodu, ale określony typ zbrodni: nie zawsze nawet skutkujący śmiercią ofiary, nato-

miast zawsze popełniony z pobudek narodowych, etnicznych, religijnych lub rasowych. W sytuacji gdy w dyskursie publicznym Ukrainy „ludobójstwo” kojarzy się z Holocaustem i Hołodomorem, pogląd o „tragedii wołyńskiej” jako ludobójstwie był odrzucany na poziomie psychologicznym. Zwłaszcza gdy towarzyszyło mu przekonanie, iż Polska w celach politycznych wywlekła najbardziej bolesne sprawy z przeszłości w najtrudniejszym dla Ukrainy momencie: gdy państwo trzeba budować na nowo, walcząc jednocześnie z Rosją o obronę jego suwerenności, co w naturalny sposób prowadzi do wzrostu patriotyzmu, również w jego egzaltowanej formie.

Drogi wyjścia

Nic nie wskazuje, że spory polsko-ukraińskie o interpretację Rzezi Wołyńskiej zakończą się w najbliższym czasie. Raczej nie przyczynią się do tego historycy, którzy dotychczas nie doszli do wspólnej oceny innego wydarzenia, które w okresie rozbiorowym obciążało stosunki Polaków i Ukraińców – a więc Rzezi Humańskiej i hajdamacczyni z początków panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. W istocie, bowiem, wyważona opinia na temat rzezi wołyńskiej wymaga wiedzy nie tylko z dziedziny historii, ale i prawa międzynarodowego, psychologii, aksjologii oraz zdolności politycznych. Spór o interpretację Rzezi Wołyńskiej toczyć się więc będzie pewnie jeszcze wiele lat. Można mieć natomiast nadzieję, że wraz z systematycznym zacieśnianiem się dwóch sąsiednich państw oraz dwóch narodów, dzielących wielowiekową przeszłość, a częściowo - w wyniku fali ukraińskiej emigracji do Polski - znów mieszkających razem, powiększać się będzie świadomość, iż odmienne stanowisko w odniesieniu do oceny wydarzeń 1943-1945 nie musi oznaczać wrogości. Z biegiem zaś lat ukraińska opinia publiczna, w tym historycy - zapiewajły gawiedzi, zrozumieją w końcu rzecz podstawową. Gotowość do jednoznacznego potępienia takich zbrodni jak Rzeź Wołyńska - bez negowania sprawstwa UPA lub uciekania się do „whataboutism'u” (*atakowanie przeciwnika w dyskusji pytaniami w celu odwrócenia uwagi od siebie i odłożenia w czasie własnych odpowiedzi - J.W.*) - jest fundamentem kultury politycznej narodów europejskich i miernikiem moralnego poziomu ich kultury politycznej. Uspokojenie dyskusji o Wołyniu po obraniu prezydentem Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego daje pewne nadzieje w tym względzie.

**Internet to coraz częściej opowieść idioty
pełna wściekłości i wrzasku.**

Olga Tokarczuk

Red. Na stronie www.cw.kul.lublin.pl znaleziono kopie „Gazety Narodowej” z roku 1874 - nr 242 i nr 254, w których znajdują się relacje z wystawy rolniczej w Przemyślanach. Zachowano oryginalną pisownię.

Wystawa rolna w Przemyślanach - 1874 r.

Przemyślany d. 7. października. Przy usilnej pracy komisji wystawowej i zapobiegliwości przewodniczącego oddziału Tow. gosp. w Przemyślanach, wystawa rolnicza wypadła nadzwyczaj świetnie, mając od ks. Potockiego Alfreda jak najdogodniejsze ubikacje oddane na ten cel do rozporządzenia w nowo zbudowanej gorzelni i wołowni. Cały lokal z dziedzińcem był świetnie przystrojonym w choraławie, gałęzie z drzew szpilkowych, znamiona rolnicze i odpowiednio napisy. C.k. starostwo dla utrzymania porządku przydzieliło żandannerję, a miasto Przemyślany policję miejscową; natłok zwiedzających był nadzwyczajny, a ludność wiejska nadzwyczaj licznie garnała się do wystawy przez wszystkie dni trwania tejże. W ogóle zwiedzających obliczono na 10.000.

Różnego rodzaju okazów, ziemiopłodów przez 100 wystawców było 600 gatunków. Oddział bydłany zajmował przeszło 100 sztuk, koni około 50 sztuk. Owce były prześliczne negretti z dóbr hr. Potockiego, z każdego folwarku osobno prezentowano. Trzoda chlewna przez różnych wystawców przedstawiona miała samo okazy rasy angielskiej. Najmniej były reprezentowane z ziemiopłodów owoce i konicz [koniczyna - J.W.], najwięcej kartofle i pszenica. Kartofli było 40 gatunków.

W drugi dzień wystawy, jako w dzień imienin Najj. Pana, obywatelstwo zgromadzone przy wystawie, udało się do starosty i złożyło swe życzenia dla monarchy; wieczorem urządzono bal i bawiono się bardzo ochoczo do białego dnia. Na trzeci dzień wystawy rozdawał prezes oddziału Tow. gospodarskiego nadesłane od ministerjum medale i premia wobec komisarza rządowego, delegata komitetu centralnego p. Kulczyckiego i delegatów oddziałów Tow. gosp. z Bóbrki, Brzeżan, Złoczowa, Kamionki, Podhajec, Rohatyna i prezesa Rady powiatowej.

Na sędziów do premiowania koni wybrani zostali: PP. Aleksander Wybranowski z Uszkowic prezes oddziału Tow. gosp. Bobrockiego. Zygmunt Wiśniewski delegat oddziału Brzeżańskiego, (Jakubowicz prezes oddziału Brzeżańskiego nie mógł zdążyć na czas.) Eugeniusz Redel z Kurowic.

Na sędziów do premiowania bydła wybrani zostali: PP. Bolesław Wierchlejski z Wierzbowa jako delegat oddziału Brzeżańsko-Podhajeckiego, Roman Bastgen nauczyciel w szkole rolniczej Dublańskiej, Seweryn Jankowski z powiatu Kamioneckiego, Tadeusz Madejski z Bobreckiego.

Na sędziów do ocenienia ziemiopłodów wybrani zostali: PP. Bronisław

Zamorski, Dzierzanowski, Zygmunt Wiśniowski, radca Kulczycki, Roman Bastgen, Bolesław Wierzchlejski. Gdy wszystkie sekcje sędziów po sumiennem przekonaniu się o wartości wystawionych okazów swą czynność załatwiły, po nader ogólniej sędziów pod przewodnictwem pana radcy Kulczyckiego, przyznano wystawcom następująco nagrody:

Za konie otrzymali: PP. Alfred hr. Potocki medal srebrny za krzyżowanie koni roboczych zwanych Perscheronami. J. Wiśniewski z Ciemierzyniec medal srebrny za przedstawione 2 klacze 3-letnie rasy poprawnej. Jan Świerzyński włościanin z Ciemierzyniec za klacz roboczą 6-letnią premium 20 zł w srebrnej brzęczącej monecie. Oleksa Lemek włościanin z Sadowy za klacz roboczą 5-letnią premium 10 zł w srebrze. Iszbowski Erazm z Hanaczówki za klaczkę 2-letnią rasy poprawnej list pochwalny. Franciszek Ruppenthal z Podhajczyk za konia poprawnej rasy 10 zł w srebrze. Józef Łojik włościanin z Borszowa za ogierka 3-letniego 10 zł w srebrze. Franciszek Arjo z Dobrzanicy za klacz roboczą premium 5 zł w srebrze. Jan Szefer z Uszkowiec za klacz roboczą premium 5 zł w srebrze. Adam Stein z Podhajczyk za klacz roboczą 5 zł w srebrze. Ks. gr. kat. Gwozdecki z Uszkowiec za klacz 5 zł w srebrze. Jan Ruppenthal z Dobrzanicy za ogierka 10 zł w srebrze.

Za bydło: PP. Jan Wiśniowski z Ciemierzyniec medal srebrny za oborę rasy krajowej poprawionej holenderskiej, prowadzonej z jasno wytkniętym planem, Włodzimierz Wiśniewski z Wiśniowczyka medal srebrny za staranną hodowlę. Władysław Buchowiecki z Poluchowa list pochwalny za staranną hodowlę rasy krajowej. Kędzierski z Meryszczowa list pochwalny za jałówkę jednoroczną półkrwi szwajcarskiej i berneńskiej. Oleksa Portyk z Kimirza za jedną krowę rasy krajowej nagrodę 20 zł. Adam Stein z Podhajczyk za jedną krowę rasy krajowej i byczka od tejsze 15 zł. Piotr Semmer z Kimirza za jedną krowę rasy krajowej 10 zł. Piotr Grün z Kimirza za jedną krowę rasy krajowej i jałówkę 10 zł.

Za trzodę chlewną: PP. Jan Dworzak ze Świrza medal srebrny za trzodę rasy Jorskschler. Włodzimierz Wiśniewski z Wiśniowczyka list pochwalny za trzodę rasy Haempshier.

Za owce: JE. Alfred Potocki list pochwalny za owczarnię Negretti Elektoret.

Za ziemiopłody: PP. Dworzak ze Świrza medal srebrny za pszenicę sandomierską waga netto 176 ft. Jan Wiśniewski z Ciemierzyniec list pochwalny za pszenicę czerwoną wagi netto 176 ft. Maciej Krajczyk ze Świrza za pszenicę banacką wagi 172 ft. netto - nagrodę 5 zł. Franciszek Adamski z Wołkowa medal srebrny za żyto szampańskie wagi netto 166 ft. Adolf Waligórski z Dobrzanicy list pochwalny za żyto szampańskie wagi netto 162 ft. Karol Laufersweiler z Podhajczyk za żyto froobstejskie wagi 162 ft. - nagrodę 10 zł. Jan Świerzyński z Ciemierzyniec za pszenicę sandomierską 172 ft. wagi i kartofle - list pochwalny.

Jakób Ario z Dobrzanicy, za jęczmień kawalerski wagi 150 ft. i kartofle holenderskie - nagrodę 5 zł. Jan Komar z Chlebowic Świerskich za owies 128 ft. wagi - nagrodę 10 zł. Jan Chojnacki z Przemyślan za olbrzymi groch połowy 200 ft. wagi netto - nagrodę 20 zł. Stefan Jaremków z Podhajczyk za proso czerwone wagi 170 ft. netto - 5 zł. Józef Tarnawiecki z Przemyślan za soczewicę białą sybiryjską - nagrodę 5 zł. w srebrze. Władysław Buchowiecki z Paluchowa za hreczkę srebrną - list pochwalny. Władysław Buchowiecki za buraki pastewne - medal srebrny. Sandor Edmund z Chlebowic Świerskich za kartofle różnych gatunków - medal srebrny. Włodzimierz Wiśniewski za rzepę i buraki - list pochwalny. Br. Poten Fryderyk z Łahodowa za rzepak ozimy 160 ft. wagi - list pochwalny. Edmund Sandor z Chlebowic Świerskich za len - list pochwalny. Alfred hr. Potocki za wszelkie okazy zboża z folwarków swych dostarczone, a w szczególności za nasiona pastewne, konicz żółty, buraki pastewne, chmiel i wyroby słodkich wódek - list pochwalny. Pani Madurowicz starościna z Przemyślan za okazy jarzyn produkowanych - list pochwalny. Ks. gr. kat. Dzułyński z Błotni za karafioly - list pochwalny.

Za okazy leśne: PP. Rudnicki z Ostałowic za szkółkę leśną prowadzoną nadzwyczaj starannie - nagrodę 10 zł. Józef Pilny ze Świrza za wyroby ręczne z drewna - nagrodę 5 zł.

Za nabiał: Adolf Waligórski z Dobrzanicy - medal srebrny. Br. Otylia Poten z Łahodowa - list pochwalny. Dworzak ze Świerza - w prezencie wagę decymalną.

Za wyroby różne: PP. Stefan Pot z Borszczowa za olej i makuchy - nagrodę 10 zł. Hieronim Ponkiewicz z Chlebowic Świerskich za ul ramowy własnej konstrukcji - nagrodę 6 zł. Piotr Pisz z Acimirza [*Kimirza - J.W.*] za pług czeski - nagrodę 5 zł. Leon Rychter z Borszczowa za młynek polski własnej konstrukcji - nagrodę 5 zł. W dziale pszczelnym otrzymał ks. gr. kat. Ignacy Tuliszewski z Borszczowa za miód w plastrach - list pochwalny.

Zamknięto wystawę losowaniem zakupionych przez komisję wystawową przedmiotów, między którymi jałownika rasy poprawnej najwięcej rozeszło się między wygrywających. Przemówił ostatecznie p. radca Kulczycki, delegat kamionecki p. Seweryn Jankowski, komisarz rządowy i p. hr. Fryderyk Poton jako prezes oddziału Tow. gosp. wnosząc okrzyk na cześć cesarza, który okrzyk po trzy kroć tłumy publiczności powtórzyły.
(Opracował J.W.)



Red. W tegorocznych materiałach pokonferencyjnych wydanych przez Stowarzyszenie Kresowian Kędzierzyn-Koźle (*Ludobójstwo OUN-UPA na Kresach Południowo-Wschodnich*, tom 11, str. 225) znajduje się opracowanie rzadko występujące w polskiej literaturze, a niezwykle dokładnie przedstawiające analizę niektórych aspektów stosunków polsko-ukraińskich. Redakcja dziękuje Stowarzyszeniu i Autorom za zgodę na powielenie tego tekstu.

Dr n. med. Krzysztof Kopociński

Dr n. med. Zbigniew Kopociński

Wyrzekanie się polskiej tożsamości kresowej na tle narastania kultu ludobójców na Ukrainie - dalekosiężne skutki i zagrożenia (cz. I)

Inspiracją dla powstania tego artykułu były spotkania autorów z kilkoma osobami zamieszkującymi centralną Polskę, które były realnym potwierdzeniem tezy, iż znajomość prawdziwej historii kresów wschodnich II Rzeczypospolitej nie jest rzeczą powszechną w naszym kraju. Dla części Warszawiaków, Poznaniaków czy Łodziaków, mimo nawet posiadanego wyższego wykształcenia, temat Obrony Lwowa czy ludobójstwa ludności polskiej dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów jest kompletnie nieznamy, podobnie jak wkład Kresowiaków w rozwój naukowy i gospodarczy Rzeczypospolitej, obronę jej granic i walkę o odzyskanie oraz utrzymanie niepodległości. Z całą pewnością przyczyn takiego stanu rzeczy jest kilka, choć ich wspólnym mianownikiem jest wyrzeczenie się przez dużą część polskich elit politycznych tożsamości kresowej.

Objawy wyrzekania się polskiej tożsamości kresowej

Symptomem tego typu zorganizowanych działań jest fatalny program edukacji polskiej młodzieży, pozbawiony niemal zupełnie podstawowych faktów dotyczących dziejów kresów wschodnich Rzeczypospolitej i roli, jaką mieszkańcy tych regionów odegrali w historii naszego państwa. W procesie wychowawczym naszej młodzieży celowo unika się znakomitych wzorców wychowawczych, którymi powinny być np. Orleńscy Lwowianie, młodzież szkolna i gimnazjalna ryzykująca swe zdrowie i życie w obronie polskiego Lwowa w listopadzie 1918 roku. Trudno w przypadku zagrożenia ojczyzny oczekiwać postaw patriotycznych od osób, którym nie wpojono w młodości odpowiednich zasad i nie ukształtowano w duchu umiłowania swego narodu i kraju. Jest to zatem działanie skrajnie nieodpowiedzialne, obniżające możliwości obronne Polski w przy-

padku wystąpienia potencjalnego konfliktu zbrojnego.

Dowodem bezsprzecznym wyrzekania się polskiej tożsamości kresowej przez polskie władze i kolejne rządy od 1989 roku jest fakt, że mimo usilnych starań środowisk kresowych nie powstało w Polsce Muzeum Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. Znalazły się olbrzymie pieniądze i środki, by utworzyć w Warszawie Muzeum Polin poświęcone historii Żydów zamieszkujących nasz kraj, co jest rzeczą z całą pewnością godną pochwały, bo społeczność ta przez wieki znajdowała nad Wisłą bezpieczny azyl i w znaczący sposób wpływała na losy naszego państwa. Jednak na tym tle jaskrawiej widać jawną dyskryminację Kresowian, których zasługi dla Rzeczypospolitej są nieporównywalnie większe niż diaspory żydowskiej. Niestety historia olbrzymiej wschodniej części Rzeczypospolitej, która w wyniku zawieruchy dziejowej i agresywnej postawy krajów ościennych, znalazła się poza granicami obecnej Polski oraz Polaków zamieszkujących te tereny, nie doczekała się do tej pory właściwego upamiętnienia. Kresy wschodnie to Wilno, Grodno i Lwów czyli wielkie ośrodki polskiej nauki, kultury i sztuki, nie da się z ich pominięciem uczciwie przedstawić historii naszego kraju. Jeśli ktoś próbuje to robić, jest zwykłym manipulatorem i nieudolnym propagandystą lub po prostu osobą pozbawioną elementarnej wiedzy historycznej.

W mediach publicznych, w tym w TVP, finansowanych przez polskiego podatnika, nie ma ogólnopolskiego programu dedykowanego kresom wschodnim (jest taki jedynie na TVP Polonia, lecz mocno cenzurowany poprawnością polityczną i skierowany do Polaków zamieszkujących kresy wschodnie w granicach dzisiejszej Białorusi, Wileńszczyzny, Ukrainy, często bardziej reprezentujący punkt widzenia tamtejszych władz niż Polaków), który stanowiłby promocję wiedzy o tym obszarze Rzeczypospolitej i przekazywał prawdziwą historię współczesnym Polakom. Rolę, której niestety nie wypełnia właściwie TVP, przejęła na siebie TV Trwam, gdzie widzowie mogą obejrzeć doskonałe filmy dokumentalne opowiadające o zbrodniach dokonanych przez bandy tzw. UPA, walce środowisk kresowych o upamiętnienie ofiar i potępienie ukraińskich zbrodniarzy. W TV Trwam można również poznać prawdziwe informacje z Ukrainy, w szczególności dotyczące gloryfikacji ukraińskich ludobójców narodu polskiego oraz dewastacji polskich miejsc pamięci narodowej (np. cmentarzy, pomników, kościołów), o co trudno w ogarniętych cenzurą, posunięte do granic przyzwoitości i poprawności politycznej, mediach głównego nurtu. Środowiska kresowe od lat domagają się bezskutecznie swojego programu na antenie TVP, która to telewizja jednak znalazła środki na emisję ogólnopolskiego programu dla Ukraińców pt. „Telenowyny”. Nie jest to niestety jedyny przykład jawnego dyskryminowania Kresowian przez telewizję rządową, bo w tych warunkach trudno ją traktować jako publiczną.

W 2018 roku obchodziliśmy setną rocznicę Obrony Lwowa (1-22 listopad 1918), jednego z fundamentalnych wydarzeń związanych z odzyskaniem niepodległości przez państwo polskie po 123. latach niewoli. 1 listopada 1918 roku ukraiński ataman płk Dmytro Wytowski dokonał zbrojnego puczu, próbując przejąć gród dla Ukraińców (Rusinów). Należy pamiętać, że miasto Lwów od wieków było częścią państwa polskiego i wielkim ośrodkiem ojczystej nauki, kultury i sztuki. Tutaj swych odkryć dokonywali polscy matematycy tworzący słynną w całym świecie „Lwowską Szkołę Matematyczną” m.in.: Stefan Banach (1892-1945), Hugo Steinhaus (1887-1972), Stanisław Ułam (1909-1984). Nie można przejść obojętnie wobec dokonań innych polskich intelektualistów związanych ze Lwowem, którzy wywarli poważny wpływ na rozwój swych dziedzin m.in. Benedykt Dybowski (1833-1930), Kazimierz Bartel (1882-1941), Ignacy Mościcki (1867-1946), Tadeusz Kotarbiński (1886-1981). Ludwik Rydygier (1850-1920), Rudolf Weigl (1883-1957), Adam Gruca (1893-1983), Bolesław Jałowy (1906-1943), Antoni Glużyński (1856-1935), Antoni Cieszyński (1882-1941), Aleksander Domaszewicz (1887-1948), Emanuel Machek (1852-1930), Tadeusz Ostrowski (1881-1941), Hilary Schramm (1864-1941) i wielu, wielu innych.

Nie sposób wymienić wszystkich wielkich artystów, których przepiękny gród nad Pełtwią inspirował podczas tworzenia dzieł z różnych gałęzi sztuki, do tego wielce zacnego grona należeli m.in.: Maria Konopnicka (1842-1910), Gabriela Zapolska (1857-1921), Tadeusz Boy-Żeleński (1874-1941), Artur Grottger (1837-1867), Henryk Siemiradzki (1843-1902), Kornel Makuszyński (1884-1953), Stanisław Lem (1921-2006), Wojciech Kilar (1932-2013), Jerzy Janicki (1928-2007), Adam Hanuszkiewicz (1924-2011). Wśród mieszkańców Lwowa na początku XX wieku (nawet już po ponad 100 latach austriackiej okupacji) najwięcej było Polaków 51%, Żydzi stanowili 28%, najmniej było Ukraińców (Rusinów) 18%. Z tego powodu trudno było przypuszczać, iż Polacy wyrażą zgodę na to, żeby ten wielki ośrodek polskości znalazł się poza granicami odradzającej się ojczyzny. W obronie swego ukochanego miasta stanęła cała ludność, w tym młodzież szkolna i gimnazjalna, która przeszła do legendy pod nazwą Lwowskie Orłęta.

Po 1945 roku próbowano wymazać z polskiej historiografii Lwów i jego niezwykłą historię, słusznie obawiając się, że może być inspiracją dla kolejnych pokoleń Polaków, dla których niepodległość i suwerenność są kluczowymi wartościami. Z Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie, gdzie spoczywa jednak jeden z obrońców Lwowa, zniknęła tablica z nazwą „Lwów”, we wszystkich publikacjach cenzurowano informacje o bohaterskiej walce Lwowiaków o swój gród. Władze PRL doskonale rozumiały, iż na epopei Orłąt Lwowskich wychowa się pokolenie kolejnych „kolumbów”, które może w pewnym mo-

mencie upomnieć się o prawdę i wolność, co jest niemiłe widziane przez każdy rząd. Mimo wielu lat prewencyjnej cenzury nie udało się wymazać prawdy o mieście, którego dewizą są słowa „Semper Fidelis”. [1]

W dniu 22 listopada 2018 roku przed Grobem Nieznanego Żołnierza, gdzie spoczywa jeden z Obrońców Lwowa, nie odbyła się niestety wielka parada z udziałem pocztów sztandarowych wszystkich jednostek wojskowych oraz pododdziałów reprezentujących wszystkie rodzaje wojsk, z obecnością Prezydenta RP i Premiera, Marszałków Sejmu i Senatu, która byłaby transmitowana na antenie TVP. Miało miejsce jedynie niewielkie spotkanie, bez udziału najwyższych władz państwowych, z mniej niż skromną reprezentacją wojska, co absolutnie nie odpowiadało randze wydarzenia i było celowym rugowaniem Obrony Lwowa z doniosłych wydarzeń setnej rocznicy odzyskania niepodległości.



Mało jest krajów na świecie, które miałyby dwie flagi państwowe. Inaczej jest na Ukrainie. Niektórzy tłumaczą, że powinny być dla różnych pór dnia: jedna na noc druga na dzień.

W Hanaczówce, podczas spotkania polsko-ukraińskiego, kościelny widocznie zapomniał o wystawieniu właściwej.

Szczególnie jaskrawo widać dyskryminację Kresowian na tle niezwykle podniosłych i godnych uroczystości rocznicowych Powstania Wielkopolskiego w Poznaniu w grudniu 2018 roku, z udziałem Prezydenta RP, który pośmiertnie odznaczył Orderem Orła Białego dowódców powstania: gen. broni Józefa Dowbor-Muśnickiego (1867-1937) i gen. bryg. Stanisława Taczaka (1874-1960). Warto przy tym wspomnieć, iż już w lipcu 2018 roku żarskie środowiska kresowe wystosowały wniosek do Prezydenta RP o pośmiertne uhonorowanie dwóch Obrońców Lwowa, generałów Wojska Polskiego Romana Abrahama i Mieczysława Boruty-Spiechowicza, w którym to piśmie można znaleźć słowa: „...Obaj niezwykli generałowie, w czasach gdy słowo „Lwów” było zakazane, stanowili bastion polskiej pamięci narodowej. Dzięki takim ludziom, mimo całych dziesięcioleci prób wymazywania Lwowa i Kresów Wschodnich z polskiej historii, nie udało się tego uczynić i nigdy się nie uda. Stanowili znakomity

wzorzec prawego i zgodnego z honorem oficera Wojska Polskiego postępowania, bez względu na okoliczności i panujący ustrój. Bronili ojczyzny z bronią w rękę, przelewali za nią krew, ale także prowadzili walkę piórem i słowem, by oszczercom nie udało się wykoślawić naszych dziejów. Przed Generałami stawał na baczność i oddawał im honor Prymas Tysiąclecia Stefan kardynał Wyszyński i kardynał Karol Wojtyła - Święty Jan Paweł II. W tamtych czasach nie było możliwe uuhonorowanie takich bohaterów najwyższym polskim odznaczeniem, teraz jest to możliwe. Apelujemy do Pana Prezydenta, aby zechciał Pan pójść drogą wytyczoną przez Prymasa Tysiąclecia oraz naszego Świętego Jana Pawła II i oddał najwyższą cześć Panom Generałom Abrahamowi i Borucie-Spiechowiczowi, odznaczając ich pośmiertnie Orderem Orła Białego. Setna rocznica odzyskania niepodległości jest chyba najlepszą sposobnością, by pokłonić się w ten sposób tym, którzy dla Rzeczypospolitej oddali całe swe życie...”. Obaj wybitni patrioci do chwili obecnej nie zostali uhonorowani. [2]

Skoro władze państwowe nie stoją na wysokości zadania, to środowiska kresowe czują się w obowiązku samodzielnie zorganizować uroczystości w hołdzie Lwowiakom, którzy przed stu laty bohatersko bronili swojego miasta przed Ukraińcami. Różnego rodzaju obchody zostały zorganizowane przez Kresowiaków w całej Polsce. W Żarach o 5.00 rano 22 listopada 2018 roku, dokładnie w setną rocznicę wywieszenia przez por. dr. Romana Abrahama polskiej flagi na lwowskim ratuszu, jako symbolu zwycięstwa w walce z Ukraińcami, zabiły dzwony wszystkich miejskich świątyń, a zgromadzeni na rynku Żaranie przywiesili na lewy rękaw odznakę oddziału „Góry Stracenia” w hołdzie bohaterskim Lwowiakom. Tak należy dbać o polską tożsamość narodową, czego wielu naszych polityków niestety nie rozumie. [3]

Obrona Lwowa to jeden z fundamentów polskiej tożsamości kresowej, stanowiącej integralną część polskiej tożsamości narodowej, toteż trudno zrozumieć postawę polskich władz, polityków czy samorządowców dążących za wszelką cenę do umniejszenia i pokrycia mgłą niepamięci dokonań wielkich patriotów z kresów wschodnich. Dobrym przykładem tego typu negatywnej działalności jest blokowanie od 2017 roku pomysłu usypania we Wrocławiu Kopca Obrońców Lwowa, jako wyrazu wdzięczności, hołdu i szacunku dla wszystkich bohaterskich mieszkańców miasta „Zawsze Wiernego”, za ich wielki wkład i poświęcenie w dzieło odzyskania wolności przez nasz kraj oraz trwały element edukacji patriotycznej dla współczesnych i przyszłych pokoleń Polaków. [4]

Kolejnym przejawem lekceważenia polskiej tożsamości kresowej jest stosunek polskich władz do stanu Cmentarza Obrońców Lwowa, lwowskiego Campo Santo, miejsca świętego dla każdego polskiego patrioty. Sposób renowacji tej nekropolii i wyrażenie zgody przez stronę polską na daleko posuniętą

ingerencję, włącznie z usunięciem z krzyży nagrobnych napisu „Obróńca Lwowa”, który to tytuł należy się wszystkim poległym i nie powinno się okradać ich nagrobków z tego honorowego wyróżnienia, budzi smutek i żal (podobnie jak fałszowanie napisów na płycie pięciu nieznanych z Persenkówki, brak zgody na powrót kamiennych lwów przed Pomnik Chwały i sfałszowanie inskrypcji na ich tarczach herbowych, brak zgody na odbudowę kolumnady Pomnika Chwały czy powrót Krzyży Virtuti Militari na figury aniołów w katakumbach etc.). Na straży pamięci kresowej stoją Kresowianie, którzy na przełomie lat 2014/2015 rozpoczęli w Żarach akcję pn. „Oddajcie Orłętom Lwy” z żądaniem pełnej i zgodnej z prawdą historyczną restauracji Cmentarza Obrońców Lwowa, w ramach której zebrano ponad 50 tysięcy podpisów pod petycją do polskich władz z apelem o podjęcie stosownych działań. [5]

Jedynym jak dotychczas zauważalnym efektem był powrót na cmentarz skradzionych stamtąd kamiennych lwów, którym niestety sfałszowano inskrypcje na tarczach herbowych i zamknięto figury w drewnianych pudłach przy Pomniku Chwały, zaś Polaków próbujących je oswobodzić władze ukraińskie każą mandatami.

Cdn.

[1] Kopociński Z., Kopociński K., Jesman C., Szpital nr 2 i jego naczelny chirurg podczas Obrony Lwowa 1-22 listopada 1918, „Lekarz Wojskowy”, 2018, tom 96, nr 1, s. 87-96; Nicieja S. S. Cmentarz Obrońców Lwowa. Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Warszawa-Kraków 1990, s. 14-54; Klimecki M., Lwów 1918-1919. Wyd. Bellona. Warszawa 2011. s. 8-59, 137-138; Draus J., Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie 1918-1946. Portret kresowej uczelni. Kraków 2007, s. 279-286.

[2] Pismo Klubu Tarnopolem, SUOZUN, KTTKz dnia 20.07.2018 r. do Prezydenta RP, archiwum autorów: Order Orła Białego dla Dowódców Powstania Wielkopolskiego, <https://www.prezydent.pl/aktualnosci/ordery-i-odznaczenia/art.359>. ordery-i-odznaczenia-order-orka-bialego-dla-gen-bryg-stanislawa-taczaka. html, [dostęp 28.05.2019]

[3] Kozica S., *Nad ranem dzwony zaczna budzić mieszkańców. To wyzwanie dla orląt*. „Gazeta Lubuska”, 2018, nr 271 (20.447), s. 9; Makowska L., *Dzwony żarskich kościołów zabiły ku chwale obrońców Lwowa. Najmłodsze z Orląt miało zaledwie dziewięć lat....*, „Gazeta Lubuska”, 2018, nr 273 (20.449), s. 4; Skrzypczyński P., *Zawsze wierny, zawsze wierni*. „Moja Gazeta”, 23.11.2018. s. 4; Kozica S., *Rocznica obrony Lwowa w Żarach? Tak, bo liczą się ludzie i pomysły*. „Gazeta Lubuska”, 2018, nr 274 (20.450), s. 20.

[4] Pismo Klubu Tarnopolem, SUOZUN, KTTK z dnia 14.10.2017 do Prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza, archiwum autorów; Dąbrowska A., *Pamięć jak ziarnka*

piasku. „Polska Zbrojna”, 2018, nr 7, s. 113-117; Kamieniecki M., Kopiec Obrońców Lwowa, <https://naszdzienik.pl/polska-kraj/190285,kopiec-obroncow-lwowa.html>.

[5] Pismo z dnia 9.03.2015 r. KTTK im. Orląt Lwowskich do Prezydenta RP w sprawie restauracji Cmentarza Obrońców Lwowa, archiwum autorów; pismo z dnia 25.03.2015 r. do Premiera Leszka Millera w sprawie restauracji Cmentarza Obrońców Lwowa, archiwum autorów; pismo z dnia 31.03.2015 r. do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w sprawie restauracji Cmentarza Obrońców Lwowa, archiwum autorów

Prof. Stanisław Sławomir Nicieja
Uniwersytet Opolski

Świrz Od generałówny do generałowej (cz. II)

Szczęśliwi małżonkowie i katastrofa wojenna

Lata 1930-1938 były dla Komorowskich najszczęśliwsze w ich związku małżeńskim. Byli młodzi, otoczeni atrakcyjnym i radosnym towarzystwem rówieśników. Przebywali wówczas głównie w Trembowli i Świrzu oraz we Lwowie, gdzie mieli apartamenty. Po śmierci rodziców Ireny, co stało się w latach 1929-1930, Komorowscy objęli Świrz i prowadzili tam z powodzeniem gospodarstwo, korzystając z pomocy sprawnych administratorów. Tadeusz przebywał głównie w pobliskiej Trembowli, pochłonięty pracą dowódczą w tamtejszym pułku. Weekendy Komorowscy spędzali w Świrzu, organizując w zamku często imprezy, na które zjeżdżał z żonami kwiat polskich oficerów (bywał wśród nich m.in. mjr Henryk Dobrzański, późniejszy słynny Hubal) oraz liczni okoliczni ziemianie: Baworowscy, Krzeczunowiczowie, Pinińscy, Tustanowscy czy Ciełecy.

W 1938 roku Tadeusz Komorowski został służbowo przeniesiony do Grudziądza z rozkazem objęcia komendantury Centrum Wyszkołenia Kawalerii – jednej z najbardziej prestiżowych polskich uczelni wojskowych. Komorowscy opuścili wówczas Świrz i zamieszkali w kamienicy przy na grudziądzkim rynku, nad salą kinową. Wojna wisiała już w powietrzu. Słuchając niemieckiego radia i agresywnych mów Hitlera, mieli jak najgorsze przeczucia. Pod koniec lipca 1939 roku Irena Komorowska na wezwanie administratora zamku pojechała swoją tatrą w ważnej sprawie do Świrza. Miesiąc później wybuchła wojna, która na wiele miesięcy rozdzieliła małżonków. Długo wzajemnie nie wiedzieli, co się z nimi działo.

W Świrzu – czytamy we wspomnieniach Ireny Komorowskiej - *do go-*

dziny drugiej w nocy słuchałam radia. Podawali to sławne przemówienie Hitlera, które wygłosił w przeddzień napadu na Polskę - strasznie agresywne, bojowe, że odpowiedzialność spada na Polaków itd. Słuchałam tego przemówienia i pomyślałam: jest wojna. (...) Pojechałam do Lwowa i zgłosiłam zamek w Świrzu na szpital, ale panował straszny bałagan, z nikim nie mogłam się dogadać. [1]

17 września 1939 roku na wiadomość o wejściu Sowiec zapanała panika. W pierwszym odruchu Irena Komorowska uległa ogólnym nastrojom przerażenia i postanowiła ewakuować się do swego przyrodniego brata - Władysława Pinińskiego, posiadającego majątek w Suszczynie pod Tarnopolem. *Na szosie - czytamy w jej wspomnieniach - Lwów-Przemysły-Brzeżany były już szalone zatory i potworny bałagan: oddziały wojskowe, jakieś samochody, armaty, cywilne jakieś wozy, cywile. Jechało się po ciemku - koszmarna jazda moją Tatrą. Do Tarnopola było może 60 kilometrów, a jechaliśmy tam całą noc. [2]*

W Tarnopolu w dowództwie wojskowym Komorowska próbowała dowiedzieć się, co dzieje się z jej mężem. Nikt nic nie wiedział. W tym czasie na wsiach ukraińskich wzmożyły się mocno nastroje antypolskie. Zaczęto rozkradać dwory i mordować polskich żołnierzy, którzy nie zrzucili mundurów. Komorowska wróciła wówczas do Świrza. Aby nie oddać samochodu bolszewikom, poleciła służbie rozebrać go na części i wrzucić do stawu. To samo uczyniła z setkami swoich fotografii, które dokumentowały życie w zamku i na których było wielu polskich oficerów. Wstrząsające wrażenie zrobił na niej widok zamku w Trembowli, na którym wisiały czerwone flagi. Postanowiła dotrzeć do Lwowa, gdzie również zaszkodziła jej ilość czerwonych sztandarów wywieszonych na kamienicach. Gdy dotarła do swego rodzinnego lwowskiego mieszkania przy ulicy Sykstuskiej, usłyszała od męża służącej: „Widzi pani, teraz dopiero przyszli oswobodziciele, a to draństwo, ci oficerowie uciekli”. [3]

W tym czasie otrzymała wiadomość, że w Świrzu chłopcy rozkradli bydło, a pod zamek podstawiono dużą ciężarówkę i na polecenie sowieckiego komi-



Irena Komorowska. Autoportret.
Ze zbiorów Adama Komorowskiego.

sarza wywieziono całe wyposażenie wnętrz, w tym meble i obrazy (m.in. Bato-wskiego i Kossaka). Nie wiadomo, co stało się z licznymi pamiątkami – mnóstwem pucharów i dyplomów z zawodów konnych. Jedyna pamiątka, jaka zachowała się jej ze Świrza, to złota papierośnica męża.

Ale jeszcze przed opuszczeniem Świrza Komorowska poleciła zakopać w piwnicach pod basztą zamku trochę dokumentów rodzinnych, srebra i porcelany. Część z tych przedmiotów (m.in. srebrną paterę, wschodni czajnik oraz kilkadziesiąt fotografii) zabrał z tej skrytki Józef Kłosowski – kierowca Komorowskiej, szczęśliwie wywiózł na Dolny Śląsk i kilka lat temu przekazał je prawowitemu właścicielowi - Adamowi Komorowskiemu. Pozostałe przedmioty zaginęły, gdyż Sowieci, przeszukując zamek, odkryli schowek z kosztownościami i rozszabrowali je.

W październiku 1939 roku postanowiła przedrzeć się na Węgry. Ale tuż przy granicy, pod Skolem, wpadła w ręce patrolu NKWD. Uwięziono ją w pałacu Groedlów, gdzie przesiedziała kilkanaście godzin. W trakcie przesłuchań tak sugestywnie przekonywała, iż jest malarką i przyjechała w okolice Skolego na jesienny plener malarski, że niespodziewanie wypuszczono ją z nakazem powrotu do Lwowa. Po kilku miesiącach starań i różnych zabiegów udało się jej wreszcie - wykorzystując fakt, że była córką byłego austriackiego generała - uzyskać dokument umożliwiający udanie się do okupowanego przez Niemców Krakowa. Miała poufne wiadomości, że tam schronił się jej mąż. W styczniu 1940 roku razem ze swą bratową opuściła na zawsze Lwów.

Okres okupacji niemieckiej Irena Komorowska spędzała w Krakowie i Warszawie, co pewien czas kontaktując się ze swoim mężem, który od maja 1940 roku był generałem brygady i pełnił funkcję zastępcy komendanta głównego Związku Walki Zbrojnej, a po aresztowaniu gen. Grota-Roweckiego w 1943 roku objął po nim dowództwo Armii Krajowej. W czasie dramatycznej wyspy w krakowskim okręgu AK w kwietniu 1941 roku, gdy wielu dowódców trafiło do Oświęcimia, tracąc tam życie, Komorowska wykazała się wielkim heroizmem. Ryzykując, krążyła po mieście często się przebijając, by gubić tropiących ją konfidentów i ostrzegała w punktach kontaktowych przed idącą falą aresztowań. W ostatniej chwili ostrzegła też swego męża, który był zakonspirowany jako subiekt w jednym z krakowskich sklepów.

W Warszawie Komorowska urodziła w 1942 roku syna - Adama. Do kartoteki kliniki - ze względów konspiracyjnych - kazała wpisać, że jest to nieślubne dziecko. [4] Gdy wybuchło powstanie warszawskie, była w zaawansowanej ciąży z drugim synem - Jerzym. W tym stanie przeżyła dramat zagłady miasta i klęskę powstańców. Po kapitulacji jej mąż trafił do niemieckiej niewoli, z której wyszedł dopiero po upadku hitlerowskich Niemiec. Długo nie wiedziała, co się z nim działo i czy w ogóle przeżył niewolę. Była z dziećmi wśród wygnańców



Czajnik wschodni, jedno z nielicznych naczyń z zamku, uratowanych przez Józefa Kłosowskiego.
Fotografia nadesłana przez Adama Komorowskiego.

Komorowska dotarła do Londynu dopiero 30 listopada 1945 roku. [5] i zamieszkała z mężem na londyńskim Barons Court. Tadeusz Bór-Komorowski pełnił w tym czasie funkcję wodza naczelnego armii polskiej, a później przez 2 lata (1947-1949) był premierem rządu polskiego na uchodźstwie, nieuznanego przez administrację brytyjską.

Los emigrantów

Irena i Tadeusz Komorowscy przeżyli na uchodźstwie w Anglii ponad 20 lat. Był to - poza okresem wojny, a zwłaszcza powstania warszawskiego - najtrudniejszy czas w ich małżeństwie. Emigranci polscy w Londynie, mocno podzieleni politycznie, żyli w wielkim dyskomforcie i częstokroć w niedostatku. Urodzona w Kijowie Irena Zabłocka-Bączkowska (1902-2006) – polska pisarka emigracyjna, zaprzyjaźniona z Ireną Komorowską (obie łączyła przed wojną pasja jeździecka i znajomość z Henrykiem Dobrzańskim „Hubalem”), napisała: *Emigracja była dla nas rzeczą tragiczną. Bardzo chciałam wrócić do Polski, ale nie miałam na to – podobnie jak Irka Komorowska – najmniejszej szansy. Ciągle*

z Warszawy, których osadzono w obozie w Pruszkowie, skąd udało się jej przedrzeć do Krakowa. Tam ukrywała się u krewnych i znajomych do września 1945 roku. Zagrożona w każdej chwili aresztowaniem przez UB bądź NKWD, zbiegła z Polski z małoletnimi synami (Adam miał 3 lata, Jerzy roczek). Trasa jej ucieczki wiodła przez Zebrzydowice, Bogumin (w pociągu z włoskimi jeńcami), Pragę, Karlów Wary, Pilzno, do amerykańskiej strefy okupacyjnej. Następnie samolotem przez Norymbergę i Frankfurt dotarła do Brukseli, gdzie po raz pierwszy od miesięcy usłyszała w słuchawce telefonicznej głos męża, przebywającego już wówczas w Anglii.

W Brukseli Komorowska spędziła 2 miesiące, gdyż Anglicy nie chcieli wydać jej wizy. Był to już czas, gdy rząd polski w Londynie władze brytyjskie uznały za nielegalny. W tej sytuacji dyplomacja angielska nie chciała narażać się sojuszniczej w tym czasie Rosji stalinowskiej.

o tym myślałam. Polska jawiła mi się jako kraj cudownej młodości, którą tam przeżyłam, a emigracja była jakąś niczym nieusprawiedliwioną karą losu. Nie znosiłam emigracji jako egzystencji ludzkiej. I to zdanie z wielkim naciskiem pragnę uwypuklić, wręcz wykrzyczeć. Żle znosiłam emigrację, bo jest to egzystencja rozdarcia, pękniętej świadomości. Mieszka się tu (w moim przypadku na wyspach brytyjskich), a w myślach żyje się tam (w Polsce) i ciągle się nasłuchuje, jakie wieści stamtąd płyną. Żyje się w dyskomforcie psychicznym, porażającym żalu, że są jakieś irracjonalne przeszkody niepozwalające tam wrócić i jakoś skleić na pół rozdarte życie. [6]

W emigracyjnych opowiadaniach Bączkowskiej najczęściej występującą postacią jest Kureczkowa - prosta, „wszystkowiedząca” kobiecina, która ciągle porównuje angielską rzeczywistość z tym, co zapamiętała z Polski. Te porównania zawsze wypadają na korzyść utraconej ojczyzny. Wszystko w Polsce było lepsze, nawet czarownice i duchy. [7]

Zwłaszcza pierwsze powojenne lata były wyjątkowo trudne. Pomimo długiej okrutnej wojny myślano, że wkrótce wybuchnie nowa, pomiędzy niedawnymi sojusznikami - ZSRR i aliantami zachodnimi, i to odmieni los emigrantów. Ale z każdym miesiącem potęgowało się rozczarowanie. Rząd brytyjski zdemobilizował żołnierzy Armii Polskiej na Zachodzie i zalecał im powrót do kraju. Dziesiątkom tysięcy Polaków, którzy obawiali się powrotu do Polski, oferowano tylko pracę fizyczną. Głównym powodem był brak znajomości języka angielskiego. Nawet wykształceni polscy emigranci po studiach uniwersyteckich znali głównie język francuski. Angielski dopiero stawał się językiem światowym. Szczególnie ciężko przeżywali degradację ci emigranci, którzy przed wojną żyli dostatnio, mieli pokaźne majątki i częstokroć pełnili prominentne funkcje. Teraz, na emigracji przyszło im podjąć pracę fizyczną. Gen. Stanisław Maczek został barmanem i szatniarzem, czterech innych generałów - Kordian Józef Zamorski, Bronisław Reguński, Bronisław Antoni Noel i Włodzimierz Dembiński - pakowali paczki w londyńskiej firmie wysyłkowej „Tazab”, gen. Klemens Rudnicki - bohater spod Bolonii zajął się na Wimbledonie renowacją mebli. Pisarka Irena z Zabłockich Bączkowska, córka niegdyś bogatego kijowskiego kamienicznika, podjęła w Edynburgu pracę w wytwórni pasz dla drobiu, a później z mężem - Janem Bączkowskim (przed wojną rotmistrzem w 13 Pułku Ułanów Wileńskich) prowadziła fermę drobiową. Poeta Jan Rostworowski - syn dramaturga Karola Huberta Rostworowskiego (autora głośnego swego czasu dramatu „Niespodzianka”) trudnił się rozwożeniem wiktuałów po hostelach i obozach dla dipisów. Całe dnie spędzał za kierownicą ciężarówki. [8]

Tę litanię prominentnych emigrantów, którzy - aby się utrzymać - zmuszeni byli podejmować się najprostszych prac fizycznych, można by długo ciągnąć. Przywołałem tych kilka nazwisk, aby uwypuklić, iż w palcu takich

indywidualności podobny los spotkał małżonków Irenę i Tadeusza Komorowskich. W pierwszych latach emigracji Tadeusz Bór-Komorowski, mimo że pełnił funkcję wodza naczelnego armii polskiej i premiera rządu na uchodźstwie, nie pobierał z tego tytułu pieniędzy.

Podziwiałem – wspominał jego syn, Adam Komorowski - odporność psychiczną mojej matki. Mając ponad 40 lat, musiała zapomnieć o wygodnej egzystencji na uprzywilejowanej pozycji, przystosować się do życia w obcym kraju i wychowywania dwójki dzieci, z których młodsze urodziło się z zespołem Downa, i zacząć zarabiać na utrzymanie rodziny. Ojciec nie otrzymywał żadnej pensji wojskowej, gdyż Brytyjczycy byli zdania, że mu się takowa nie należała, ponieważ, inaczej niż np. gen. Anders, nie walczył bezpośrednio pod komendą brytyjską. Dawniej w jej domu posiłki gotowała i podawała służba, teraz matka musiała się sama tych obowiązków nauczyć. [9]

Irena Komorowska nie tylko gotowała posiłki dla rodziny, sprzątała mieszkanie i zajmowała się dziećmi, ale musiała ciągle ten dom utrzymywać. Mąż przebywał nieustannie na różnych konwentykłach towarzysko-dyskusyjnych, toczył spory, rozwijał wizje oraz prognozy polityczne. Irena Komorowska początkowo wynajmowała pokoje w przydzielonej im willi i podjęła się pracy krawieckiej w londyńskiej pracowni Janiny Pronaszkowej. Szyła tam zasłony okienne. Jej mąż po dymisji z funkcji premiera w lutym 1949 roku został bezrobotny. Po kilku miesiącach podjął pracę fizyczną w małej wytwórni sztucznej biżuterii Czesława Konopackiego. Ale gdy ujawniła się u niego choroba serca, ograniczył się tylko do prowadzenia ksiąg rachunkowych. W tym czasie jego żona otworzyła firmę tapicerską, która przez lata była głównym źródłem utrzymania rodziny Komorowskich. Mając nierzetelnego współnika, utracjusza, z wielkim trudem utrzymywała stabilność firmy.

Znakomity publicysta Wacław Alfred Zbyszewski w liście do Jerzego Giedroycia – dyrektora paryskiej „Kultury” informował 7 kwietnia 1949 roku: „Bór sprzedał własną willę, by spłacić dług oszusta”, a o sobie dodawał: „jestem bez centa. Żyję z pożyczek, więc błagam o honorarium i jak najwyższe”. [10]

Cdn.

[1] I. Komorowska, *U boku dowódcy...*, s. 78.

[2] Tamże, s. 79.

[3] Tamże, s. 84.

[4] K. Lanckorońska, *op. cit.*, s. 125.

[5] I. Komorowska, *U boku dowódcy...*, s. 24.

[6] I. Bączkowska, *Krajobrazy i ludzie. Opowiadania norfoldzkie*, wybór Halina Nicieja, Opole 1995, s. 28; cytat z listu Ireny Bączkowskiej do Haliny Niciei z 2 stycznia 1996 roku, w posiadaniu adresatki.

[7] I. Bączkowska, *op. cit.*, s. 35.

[8] M. Danilewicz-Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Wrocław 1992, s. 376.

[9] I. Komorowska, *op. cit.*, s. 24.

[10] *Archiwum „Kultury”*. Jerzy Giedroyc, Wacław A. Zbyszewski – listy 1939-1984, wybrał, opracował przypisami i wstępem opatrzył R. Habielski, Warszawa 2018, s. 83.

Leopold Cyganik

Porucznik z Kimirza (cz. II)

Pamięci prof. dr hab. por. Józefa Utziga (12.09.1917-21.06.1984) - naukowca, działacza, żołnierza AK i niezapomnianego bojownika o wolność.

Lwów przestawał być wolnym miastem, miastem inteligencji. Każdy bowiem Polak miał powiązania z podziemiem i każdy miał dwóch zaciekle wrogów: Niemców i Ukraińców. Niemców z wiadomej przyczyny a Ukraińców, ponieważ okazali się oni być wówczas dwulicowymi nacjonalistami, którzy ochoczo kolaborowali z hitlerowcami w nadziei na własne, niepodległe państwo. Nie można było czuć się bezpiecznie, miasto wnet znalazło się pod ciężkim butem brutalnych Rosjan i jednocześnie czujnym okiem niemieckiego „Wielkiego Brata”, który z bezpiecznej odległości obserwował coraz śmielsze działania Ukraińców, podsycając ich nadzieje na nową, korzystniejszą dla nich rzeczywistość. Na ulicach pełno było młodzieży noszącej na ramionach ukraińskie barwy narodowe. Właśnie te barwy stanowiły część konfliktu - Ukraińcy identyfikowali się zarówno z czerwienią i gwiazdą (symbolem zbrodniarza Bandery), jak i narodowymi pasami błękitu i żółci. Chcieli mieć po prostu swój kraj, by nie czuć się bezpaństwowymi tułaczami, a jednocześnie - naładowani nacjonalistyczną nienawiścią i owładnięci żądzą krwi - zaczęli mordować z imieniem przywódcy na ustach.

Dotychczas armia Rzeszy i Armia Radziecka żyły w nieustannej przyjaźni, [4] jednak Niemcy mieli swoje plany, chcieli zdominować i zająć cały

kontynent a na przeszkodzie stali im właśnie Rosjanie. Lato roku 1941 przyniosło więc nieoczekiwane zmiany, oto hitlerowcy zwrócili się przeciwko swoim sojusznikom i z chwilą, kiedy 22 czerwca Luftwaffe ostrzelało lotniska radzieckie znajdujące się na granicy z Rzeszą, rozpoczęła się wojna niemiecko-radziecka zwana blitzkriegoem.



Młodzi mężczyźni z Przemyśla, 1937 r. (?) Rząd pierwszy - Janusz Zarnowski, rząd drugi - NN, rząd trzeci (od lewej) Kazimierz Etterle, późniejszy organizator struktur AK, Józef Utzig i Eugeniusz Szczerbaty(?).

Lipiec 1941 roku we Lwowie rozpoczął się najgorzej, jak tylko mógł - zamiast oślepiającego blasku słońca oślepiały jedynie kule karabinu - niestety na zawsze. Zamiast tupotu stóp i śpiewów młodych ludzi, zażywających wakacyjnego odpoczynku, słychać było odgłos ciężkich wojskowych butów i okrzyki w języku Goethego. Niemcy, którzy dotychczas jedynie obserwowali Lwów, właśnie wkroczyli do miasta. Pierwszym celem nazistowskiego okupanta stali się inteligenci - profesorowie akademicy, którzy przez ostatni rok byli jednym z pierwszych wrogów Rzeszy Niemieckiej. Tuż po wejściu na teren miasta wojska obrały za swoją siedzibę budynek niegdysiejszej Szkoły Kadetów i niemal od razu rozpoczęło się „wyłapywanie inteligentów”. W ciągu dwóch dni aresztowano m.in. dwudziestu dwóch uczonych wraz z ich rodzinami. Jeńców prze-

wieziono do uniwersyteckiej bursy, gdzie stawiano im absurdalne zarzuty. Miejscem egzekucji były Wzgórza Wuleckie, dokąd profesorowie podzieleni na dwie grupy dostali się pieszo oraz przewiezieni ciężarówką.

Rankiem 4 lipca 1941 roku gros lwowskiej inteligencji usłyszało ostatni dźwięk w swoim życiu - odbezpieczenie karabinu maszynowego. Zostali rozstrzelani i pochowani w zbiorowej mogile. Wiem, że jeden z profesorów uniknął aresztowania i śmierci tylko dlatego, że wcześniej się przeprowadził. Niemcy o tym nie wiedzieli, więc nie zdołali go odnaleźć. Nie bez przyczyny wspominałem o Krakowie, całe to ludobójstwo pewnie nie przebiegłoby tak szybko, gdyby nie obrzydliwa nadgorliwość Ukraińców, którzy właśnie tam studiowali.

To oni przygotowali Niemcom listę profesorów lwowskich, dzięki której uczeni jeden po drugim byli wywlekani na śmierć. Nagonka na inteligencję polską rozpoczęła się wszakże już rok wcześniej, jednak naziści uważali, że w Krakowie popełnili błąd wtrącając profesorów do obozów koncentracyjnych. Byli oni tam bardzo niewygodnymi więźniami, dlatego wojska Rzeszy wkraczając do Lwowa 2 lipca 1941 roku miały wyraźny rozkaz, aby nikogo nigdzie nie przewozić, tylko „załatwić problem na miejscu”. Niemcy w przeciągu dwóch dni zajęli Lwów i przyległe doń tereny, młodzież po zmianie władz w mieście nie miała pozwolenia na podjęcie nauki, więc Józek jako młody dorosły zmuszony był wbrew sobie do przerwania studiów weterynaryjnych. Nie zaprzestał jednak swoich działań politycznych - a wręcz przeciwnie - mocno je wówczas zintensyfikował. Jeszcze jako student zawarł wiele znajomości, a dzięki rekomendacji wspomnianego Krutina wstąpił do polskiego podziemia, które wówczas chroniło ludność cywilną.

W szeregach armii przydzielono go do wywiadu. Ppor. Kawka organizował takie „trójki” wywiadowcze, które dbały o to, żeby każdy, kto czuł na karku oddech okupanta otrzymał pomoc. Wuj był w jednej z takich trójek, jeśli komuś groziło aresztowanie - pomagał znaleźć kryjówkę, jeśli trzeba było zorganizować drogę ucieczki czy przenieść zapasy - zajmował się tym.

Niczym grzmot rozdzierający ciszę w letnią noc uderzyła w tereny kresów bratobójcza wojna, nagle przyjaciel, towarzysz dziecięcych zabaw i niewinnych figli stawał się wrogiem, dla którego krew sąsiada - Polaka stawała się symbolem utopijnej wolności. W tym czasie przecież zagrożenie ciągnęło z dwóch stron - z jednej Niemcy, którzy rozpoczęli eksterminację Polaków i Żydów, a z drugiej Ukraińcy, którzy byli nieprzewidywalni! Nie wiadomo było, który z nich poda ci rękę z życzliwością, a który chwyci ją tylko po to, aby równo uciąć. Wspomnienie tej atmosfery zaszczucia i wiecznej niepewności roztacza wizję niczym z brutalnego kryminału, w którym trup ściele się gęsto a brutalne morderstwa to element codzienności. Wtedy wszystko było jasne, każdy wiedział, że Ukraińiec oznacza wróg, lecz nic nigdy nie było jedynie czarne i białe.

Trzeba pamiętać że nikt nie miał wyboru, oni również mordowali ze strachu. Gdyby nie podnieśli ostrza siekiery na Polaka nocą to samo ostrze wylądowałoby w jego plecach - wbite przez rodaka.

Każdy młody człowiek, który marzył o jakiegokolwiek przyszłości dalszej niż następny dzień, musiał nauczyć się bronić. Tym właśnie zajmował się Józef, oficjalnie pracował, jednak rzeczywistym jego działaniem było przyjmowanie i szkolenie nowych rekrutów, spod jego ręki wyszli młodzi bojownicy z powiatu przemysłańskiego (m.in. Hanaczowa). On sam nieustannie brał udział w działaniu przeciwko wrogowi, między innymi likwidowaniu milicji ukraińskiej.

Były takie oddziały, które wspólnie z Niemcami bez powodu prześladowały i mordowały ludzi każdej innej narodowości, nieważne czy Polak, Żyd, Ormianin czy Cygan. Każdy ginął w wyjątkowo brutalny sposób, godzina policyjna bardzo łatwo stawała się godziną śmierci, wujek Józek i jego koledzy nie chcieli pozwolić na to, by nadal wyjście na ulicę po zmroku równało się z bagnetem pomiędzy żebrami. AK dzięki tak zorganizowanym akcjom sprawiało przykre „niespodzianki” zbrodnictwom patrolom, które z łowców stały się zwierzyną. Kiedy kilka takich „trójek” zległo martwych na ulicach Ukraińcy szybko poszli po rozum do głowy i zaprzestali zabijania napotykaną wieczorami młodzieży.

Józek miał rozpocząć wtedy studia, kiedy mieszkał u swojej siostry Marysi. Szwagier Jagoszewski miał mieszkanie przy tej słynnej ulicy Łyczakowskiej. Planował doprowadzić naukę do końca, ale w tym czasie każdy plan potrafił wziąć w łeb w ciągu chwili. Wujek musiał, póki co odłożyć marzenia o weterynarii, bo Niemcy nie zgadzali się na to, by we Lwowie studiowali Polacy.

Nauka była dla wujka niezwykle ważna, ale nigdy nie wygrała z poczuciem odpowiedzialności za Polskę. Przez dwa lata działał w podziemiu, za co mógłby przypłacić życiem - gdyby go oczywiście złapali ci, którzy nie powinni. Trzeba przyznać, że miał niesamowite szczęście! Raz bowiem wpadł w ręce niemieckiego żołnierza i byłby przepadł, ale tu znowu przydała się znajomość niemieckiego! Wujek zagadał chcącego go wylegitymować Niemca, ten wprowadził go do bramy a tam Józku wyjął z kieszeni szwajcarski zegarek, a jednocześnie przystawił zaskoczonemu wojskowemu pistolet i dał wybór: dostaje zegarek, albo „kulkę”. Facet nie był głupi - wziął zegarek i jeszcze wyprowadził wuja z obłączenia. Każdy poszedł w swoją stronę - mówiłem, fart niesamowity!

Podziemna działalność trwała do początku 1943 roku, bowiem właśnie wtedy - w marcu - Józka dopadły demony wojny. Nie pamiętam tego dokładnie, ale chyba było tak, że zaskoczyli go w domu. Zarządzili „kocioł” i zabrali. To musieli być specjaliści, że podeszli go w ten sposób, nawet nie zdążył zrobić nic, żeby się obronić to i tak godne podziwu, że ukrywał się aż tak długo. Aresz-

townie było efektem jakiegoś donosu - nikt nigdy nie dowiedział się za co i kto go napisał. Józefa umieszczono w więzieniu przy ul. Łackiego - było to najcięższe więzienie we Lwowie - mówił, że miał olbrzymie szczęście, długo udawało mu się uniknąć konsekwencji. Wykazywał się niesamowitym sprytem i wyczuciem a dla swoich sióstr był absolutnym bożyszczem.

W czasie postępowania dochodzeniowego został przypisany oficerowi SS, który w trakcie pokoju był w Berlinie studentem II roku medycyny. Józef opowiadał, że czuł się oszczędzany w śledztwie ze względu na swoje germańskie nazwisko i biegłą znajomość niemieckiego. Mówił, że miał nawet szansę na łagodniejszą karę w społeczności niemieckiej, proponowano mu to, ale nigdy nie chciał wyprzeć się tego, że jest Polakiem! Łagodniejsze traktowanie przy przesłuchaniu nie wpłynęło jednak na długość kary - trybunał Rzeszy był nieugięty i wymierzył Józefowi karę śmierci.

Nie było wprawdzie takiego problemu, którego u Niemców nie dało się załatwić cennym kruszczem. Ciotki dysponowały złotem moich rodziców, ale zanim rodzina zdołała zorganizować „kaucję” na czas, wyrok już zapadł. Babcia i ciotki musiały się „gimnastykować”, aby ważniacy od Adolfa zgodzili się nagiąć swoje przepisy i zmienić karę na dożywocie! W więzieniu Józef spędził nieco ponad rok, bowiem w maju 1944 roku został stamtąd przetransportowany do obozu koncentracyjnego w Gross-Rossen (Rogoźnica), gdzie spędził miesiąc, w czasie którego pracował w tam-



Józef Utzig (z lewej) i jego konspiracyjny kolega, Kazimierz Hickiewicz. Fotografia wykonana po powrocie z Oranienburga. Kraków 1945 r.

tejszych kamieniołomach, chociaż trudno to nazwać pracą. To była czysta perfidia niemieckich żołnierzy! Zapędzali oni więźniów do kamieniołomów, kazali kuć, aby rozbić największe kamienie, następnie pędzili „pracowników” na górę, by tam zostawili urobek a potem zrzucili na dół kolejne, co większe głazy. Bawili się męcząc więźniów. Gehenna w kamieniołomach trwała kilka tygodni, po tym czasie wyładował w Sachsenhausen-Oranienburg. Do końca życia pamiętał swój numer: 82539. W tym obozie wujek znowu „pracował”. Można powiedzieć nawet, że dostał „awans” - już nie dźwigał kilofa, został oddelegowany do opieki nad gestapowskimi psami. Co to były za bestie! Żadne krwi dzikusy! Żaden obozowy opiekun nie był w stanie przeżyć z nimi kilku dni, gdy tylko kundłe poczuły się pewniej, rzucały się ofierze do gardła. Przeżywali tylko nieliczni, ale już do końca pozostawali ciężko okaleczeni. Józek pewnie skończyłby podobnie, ale chyba urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, bo znów przechylił wagę losu na swoją stronę...

Pies może być nawet niebezpieczny, ale nigdy bezmyślny. Te psy również miały swój instynkt i inteligencję, zwierzęta potrafią wyczuć człowieka, wiedzą jaki jest. Tutaj też musiało tak być, widocznie wyczuły, że wujek przez całe życie bardzo kochał i szanował zwierzęta, bo gdy tylko wszedł on do kojca psów te nie rzuciły się na niego. Czują pewien respekt, rzekłbym, że powoli dawały się oswajać. Nie od razu, rzecz jasna, ale po około trzech dniach Józek mógł nawet zbliżyć się do miski i zjeść niedojedzony przez zwierzęta pokarm.

Czas upływał a Józek - ku ucieście współwięźniów - nadal pracował przy psach, co oznaczało, że nikt nowy nie jest tam potrzebny. Chociaż jedno przyniosło ulgę tym udręczonym duszom w „pasiakach”. Po latach, wracając do tego wydarzenia Józef mówił, że przeżył właśnie dzięki tym psom:

- Nie okazywałem strachu, dzięki temu „przywódca” sfory zaakceptował mnie. Jakiś czas później część porcji zostawała w misce.

Można się domyślić, że Józef nie zamierzał dokonać żywota w obozie. Okazja na zmianę położenia nadarzyła się dosyć szybko - oczywiście jak na warunki wojennej zawieruchy - przed upadkiem Berlina, na samym początku 1945 roku więźniowie Sachsenhausen-Oranienburg - w tym oczywiście Józek - byli konwojowani na zachód. Poruszali się pieszo w katorżniczym tempie, jednak co sprytniejszy mógł zauważyć, że trasa biegnie przez boczne trakty, a drogi są bardzo wąskie.

Wuj wraz z kolegą - imienia już nie pomnę - zwietrzyli dla siebie szansę, w tłumie odłączyli się po przeciwnych stronach i ukrywając w jeszcze zaśnierzonych rowach umknęli uwadze żołnierzy. Była to może końcówka kwietnia, oni nie mieli na sobie nic, poza więziennymi łachmanami, a żeby pozostać niezauważonymi musieli leżeć w jednej pozycji przez wiele godzin.

Droga w stronę ziem odzyskanych była katorgą, chłód można było

jeszcze przezwyciężyć, ale głód potrafił złamać i odbierać ostatki nadziei. Aby przetrwać żywili się znalezionymi i wykopanymi pod śniegiem surowymi burakami czy roślinami. Węszyli w poszukiwaniu czegokolwiek do zjedzenia, jak wychudzone wilki polujące na ostępach. Towarzysze niedoli przesuwali się naprzód uważając, aby nie natknąć się przypadkiem na wojsko, bo to oznaczałoby niwecz całego planu, trzymali się bocznych dróg uważając na wszelkie dźwięki i ślady na śniegu. Po kilku dniach wędrowki kroki doprowadziły ich do gospodarstwa *bauera*, [5] gdzie wreszcie mogli najść się niemal jak na królewskiej uczcie. Po wielomiesięcznym życiu na skraju człowieczeństwa wszystko, co nie było ochłapem z psiej miski ani zmarzniętymi jarzynami jawiło się niczym słynna uczta u Wierzyńki - ucztowali więc. Więźniowie, którym przez ponad dwa lata codziennie odmawiano (niezbywalnych przecież) praw człowieka - po wyswobodzeniu się są gotowi na wszystko.

Józek i jego towarzysz przed wyruszeniem w dalszą drogę zabrali z gospodarstwa, co tylko mogli, aby przetrwać. Wujek miał ze sobą jedynie worek, niewiele mógł tam włożyć, ale ten kolega wujka wyprowadził nawet z obejścia wóz konny, naładował furę po same brzegi tym, co tylko wpadło mu w ręce. Znaleźli się na dalszym trakcie kierując ku ziemiom, na których nie było już okupanta, za cel obrali sobie Poznań, pod który doszli po kilku dniach. Tam Józek pożegnał się z kamratem – rozeszli się w dwie strony.

Mężczyzna skierował się w stronę Torunia, skąd pochodził, zaś Utzig ruszył w kierunku Krakowa. Znał tylko jeden adres, pod który mógł się udać - na Krakowskim Podgórzu mieszkała jedna z jego sióstr - Emilia. Rozdzielili się. Wojna chyliła się ku końcowi, jednak nadal zbierała żniwo, choćby przez przypadek. Makabryczny chichot losu dał o sobie znać, gdy obaj nie uszli nawet pół kilometra. Józek siedł tak wciąż uważając, aby nie wpaść w ręce hitlerowskich niedobitków, gdy za sobą usłyszał ogłuszający huk. Przeżywszy wojnę wiedział doskonale, że niedaleko niego coś eksplodowało w niebezpiecznie znanym mu kierunku. On już wtedy czuł, że to jego kolega skończył w ten sposób. Gdy zawrócił potwierdziły się jego obawy...pod ciężarem wozu eksplodowała najechana przypadkiem mina przeciwczołgowa... Nie było co zbierać. W promieniu kilkunastu metrów rozrzucone były szczątki wozu, jego zawartości ...i ciał.

Józef bezpiecznie dotarł do Krakowa i przez chwilę poczuł, że wreszcie żyje w wolnej Polsce, ponieważ Niemców już w mieście nie było. Po okupancie nie było śladu, za to dawna stolica stała się tygłem, w którym wręcz kotłowało się od różnej maści uciekinierów, sierot i ludzi podróżujących z frontu w różnych kierunkach.

Tam był niesamowity kocioł, w całym mieście wręcz się gotowało, każdy gdzieś biegł, pełno było ludzi odpoczywających po swoich przejściach oraz takich, którzy uciekli i nie mieli już dokąd pójść. Józek miał to szczęście, że mógł zatrzymać się u Emilii. Mieszkała na Podgórzu z mężem - Kazikiem i moją

siostrą Tosią.

Początki nowego życia w Krakowie nie były zbyt sielankowe, oczywiście rodzina cieszyła się z powrotu Józka, ale nie dane im było odpoczywać długo. Kazik pracował w tym czasie w zakładzie stolarskim, a Tosia miała problemy zdrowotne. Wszystko wydarzyło się niemal w jednym czasie, jakby sprzysięgło się przeciwko nim. Kazik miał wypadek w pracy, maszyna zupełnie obciąła mu cztery palce dłoni - został mu tylko mały. Moja siostra niemal w tej samej chwili trafiła do szpitala z zapaleniem wyrostka..., ślepa kiszka, jak to mówili. Okazało się, że i jej stan był bardzo ciężki - wyrostek pękł i należało walczyć o jej życie.

To były czasy, kiedy antybiotyków zupełnie nie było, później można było podać kilka tysięcy jednostek penicyliny i człowiek wracał do zdrowia w ciągu tygodnia. Wtedy nie było to takie proste. Antonina Cyganik leżała na oddziale żeńskim, pacjentki były przemieszane, bo pech chciał, że niedługo wcześniej oddział tzw. Czerwonej Chirurgii uległ uszkodzeniu w wyniku eksplozji bomby. Wyszła ze szpitala niemal w tym samym czasie, co jej wuj.

W rodzinie było teraz dwoje pokrzywdzonych przez los; Kazik ze zmasakrowaną dłonią i Tosia po zabiegu w dość spartańskich warunkach. Na szczęście Kraków wolny był od tak ogromnych zniszczeń, jakich doznała choćby Warszawa. AK zrobiła wszystko, żeby nie dopuścić Niemców do wysadzenia miasta. Bardzo się postarali, trzeba przyznać, w ścisłej tajemnicy rozminowywali miasto, w którym ładunki porozstawiane były bardzo gęsto. Niemcy mieli sporą niespodziankę, gdy okazało się, że nagle wszystkie ich ładunki są nieczynne.

Cdn.

[4] Pakt Ribbentrop-Mołotow.

[5] rolnika.

Józef Wypiański

Wykaz ofiar zbrodni popełnionych przez nacjonalistów ukraińskich na osobach narodowości polskiej w pow. Przemyślan (XXXV)

W Narajowie został zabity 20.05.1944 r. **Paweł Wiatkowski**, urodzony 8.09.1897 r., mąż Marii Kostyszyn. Pochodził z Błotni i zapewne uciekł z wioski do bezpieczniejszego miasteczka. Jest 21 ofiarą z tej wioski. Informację o śmierci podano na stronie <http://archiwum.kresowe.pl/narajow-1939-1945-ksiegi->

metrykalne-jako-dowody-zbrodni/#more-6073. Może w tym archiwum znajdują się wykazy ofiar z Podusilnej, Podusowa i Baczowa, wiosek należących do parafii w Narajowie.

W archiwum redakcji „Spotkań Świrzan” znajduje się pisany po polsku list Jana Cyganiuka z Żędowic wysłany do Adama Hadingera z Chlebowic Świrskich. Adresat otrzymał go zapewne w zimie 1943-1944 r., gdy pełnił funkcję administratora kilku niemieckich majątków (Liegenschaftów): w Chlebowicach Świrskich, Żędowicach i jeszcze kilku, których nazw nie jest znana.

Z dopisku A. H. wynika, że Ukraińiec Jan Cyganiuk był osobą odpowiedzialną (ekonom?) za pracę żędowickiego majątku. Z całą pewnością można przyjąć, że pełnienie tej funkcji nie spodobało się ukraińskim nacjonalistom i wydali okrutny wyrok śmierci nie tylko na niego, ale również na jego trzech synów: Czesława, Kornela i Rafała. Wyrok wykonali podczas napadu na wieś, 14.04.1944 r.

Na stronie www.miedzyrzecznastrzebiasto.pl znajdują się wspomnienia byłego mieszkańca Plenikowa, Rudolfa Lewkowa. (...) *Mieliśmy duże gospodarstwo, piękne urodzajne ziemie, konie, owce, świnię. Nauczycielka uczyła nas w swoim domu, kolejne klasy robiłem w sąsiednich miejscowościach. Gdy miałem 14 lat, zacząłem sam prowadzić sklep tzw. kółek rolniczych. Ledwo mnie było widać zza wysokiej lady. Wtedy nikt nie dzielił ludzi ze względu na narodowość. Obok siebie, w przyjaźni zgodnie żyli Polacy, Ukraińcy, Żydzi.*

Wszystko zmieniała wojna. Gdy weszli bolszewicy, zabrali co się dało. Było okropnie, ale gdy w 1941 r. przyszli Niemcy, dopiero się zaczęło. Ludzie jedli zupę z lebiody, placki z pokrzywy. Mnie Niemcy wysłali do obozu pracy w oddalonym o 25 km Złotowie [może Złoczowie - J.W.]. Praca była okropnie ciężka, przy liniach kolejowych, wciąż towarzyszył nam głód, na każdym kroku czaiła się śmierć. Po każdym dniu pracy pokonywałem pieszo drogę do domu. [Niemcy zwalniali na przepustkę dopiero w piątkowe popołudnie - J.W.]

Już wtedy grasowały po wsiach ukraińskie bandy. Kilka razy udało mi się uniknąć śmierci tylko dlatego, że doskonale znałem ze szkoły język ukraiński. Wierzę, że o moim być, a nie być zadecydowało coś jeszcze - to anioł, którego zobaczyłem jako kilkuletnie dziecko. On mnie ochronił, do dziś widzę go wyraźnie, gdy tylko zamknę oczy.

Co noc ukrywaliśmy się w lesie, albo u sąsiadów. Chowali nas niektórzy Ukraińcy, bo byli dobrymi ludźmi. Wyjechaliśmy zaraz po tym, jak spłonął nasz dom. Nigdy już tam nie wróciłem. Strach zostaje w człowieku. Potrafiłem obudzić się w nocy z krzykiem jeszcze długie lata po zakończeniu wojny.

Żaś na stronie www.cda.pl/video jest nagrana rozmowa z Marią Bułkowską, którą przeprowadził Jacek Międlar. Kresowianka urodziła się w 1933 r. i mieszkała w Wyżnianach. Opowiadała o wydarzeniu z 1939 roku i 1944. *W majątku w Wyżnianach zatrzymał się jakiś oddział polskiego wojska i przez*

kilka dni mama nosiła im zupeę, bo byli głodni. Gdy przyszłyśmy w następnym dniu żołnierzy już nie było. Od jednego z nich dowiedziałyśmy się, że nocą przyjechał samochód z Ruskimi i wszystkich zabrali. Ocalałego nie zabrali bo zdążył się ukryć. Jeszcze tego samego [dnia] żołnierz pożyczył z majątku rower i chciał dojechać do Kurowic, gdzie była stacja kolejowa. Nie dojechał. Na polnej drodze złapali go Ukraińcy i zamordowali. Zabrali rower i ściągnęli z niego buty.

Bardziej tragiczny los zgotowali Ukraińcy babci Marii Bułkowskiej. Nie jest znane jej nazwisko, w redakcyjnym wykazie ofiar będzie figurować jako NN. Babcia mieszkała z nami i pewnego dnia wybrała się do swojej córki mieszkającej we wsi odległej 5 km od Wyżnian. Gdy dowiedziałyśmy się o napadzie banderowców na tę wioskę, poszliśmy dowiedzieć się o losie rodziny cioci i babci. Zastaliśmy spalony dom. Sąsiad, który zbudował sobie schron i ocalał wraz z rodziną, widział w czasie napadu uciekającą ciocię z trzema córkami i kulającym mężem i babcię stojącą koło domu. Podeszło do niej kilku Ukraińców i zaczęło ją męczyć, bijąc kijem po plecach. Babcia bardzo prosiła o darowanie jej życia. Napastnicy wrzucili żywą babcię do płonącej chałupy. Nie byłam wewnątrz spalonego domu. Mama mówiła, że ciało było bardzo spalone. Później dowiedzieliśmy się, że ciocia uciekła do rzeki i nią przeszła do innej wioski, gdzie zatrzymała się u Polaków.

Gdy rozchodziła się pogłoska o napadzie na wieś, z mamą i siostrą chodziłyśmy spać w pobliskich krzakach. Co to było za spanie? W Wyżnianach Ukraińcy zabili dwie osoby, a jeden nazywał się Bezruczka Stanisław. [Zamordowany ok. 15.04.1944 r. Dotychczas nie było znane jego imię. - J.W.]

Ciągła obawa o napad, którego się bardzo bałam, spowodował to, że schudłam i trzęsłam się ze strachu. Któregoś dnia poszłam do rodziny ukraińskiej, krewnych ojca, żeby spokojnie przeżyć noc. Nie długo to trwało. „Ciocia” powiedziała mi, że nie może dłużej przechowywać, bo Ukraińcy zagrozili jej śmiercią. Wróciła do domu. Po jakimś czasie mama skierowała mnie do jej znajomej, również Ukrainki. U niej spałam aż do czasu wyjazdu.

Przez ciągły strach nabawiłam się nerwicy, na którą po wojnie musiałam się leczyć. Na Ukrainie byłam 7 razy, ale zawsze we Lwowie, u kuzynki. Do Wyżnian nigdy nie pojechałam.

I jeszcze wspomnienie Krzysztofa Jaworskiego, zamieszczone w dwutygodniku Ziemia Lubańska z 11 kwietnia 2013 r. W lutym 1944 r. w małym przysiółku Zagóra koło Hanaczowa [Zagóra jako przysiółek należała do Hanaczowa - J.W.] miały miejsce bardzo tragiczne wydarzenia. W nocy na te wioski nastąpił pierwszy tragiczny napad banderowców w sile ok. 750-1000 osób.(...) I właśnie w tę noc, gdy zaczęło się to bestialskie mordowanie bezbronnych mieszkańców Zagóry, młoda kobieta o imieniu Zofia z małą dziewczynką na rękach bezradnie szukała schronienia, bo wkoło już płonęły zabudowania mieszkalne i gospodarcze. Widząc to wszystko za wszelką cenę chciała uratować życie swoje i córki.

Więc pobiegła w samej koszuli z dziewczynką owiniętą chustą w stronę rzeki i tam pod mostem się schroniła. Stojąc tak w lodowatej wodzie czekała na łaskę i nie-łaskę losu. Przez cały czas obie słyszały huk wystrzałów i krzyki mordowanych mieszkańców. Bała się strasznie, bo mała dziewczynka o imieniu Marysia miała skończone zaledwie dwa latka. Modliła się by dziewczynka nie płakała, było bardzo zimno. Płacz dziecka mogliby usłyszeć banderowcy i obie uciekinierki podzieliłyby los innych mieszkańców, którzy zostali bestialsko zamordowani. Tak doczekały ranka. Kobieta wraz z córką wyszła z wody jak już było widno. Były uratowane.

O. Łucjan Królikowski wspomina rabunek mienia zakonników przez ukraińskich chłopów w 1939 r. (za www.radiomaryja.pl): *Gdy zobaczyłem, jak ta Armia Czerwona zalewa wszystkie wioski i miasta, zupełnie jak szarańcza, postanowiłem wówczas wycofać się z Halicza, do naszego folwarku [folwark oo. Franciszkanów w Hanaczowie - J. W.]. Po dwóch lub trzech dniach mojego tam pobytu, przyszli Ukraińcy z pobliskiej wioski. Od samego rana do wieczora rabowali, co tylko się dało: konie, wozy, narzędzia rolnicze, potem bydło, drób, świny itd. Było nas tylko dwóch kleryków, jeden schorowany ksiądz oraz służba. Kiedy pod koniec dnia Ukraińcy się wynieśli, nie mieliśmy właściwie dokąd udać się na nocleg. Poszliśmy zatem do polskiej wsi, do Hanaczowa, gdzie znaleźliśmy gościń u jednej polskiej rodziny. Przez kilka dni pracowaliśmy w polu, pomagając kobietom przy żniwach, bo mężczyźni jeszcze nie wrócili z wojny. Gdy po jakimś czasie Niemcy oddali Lwów Sowiетom, którzy zaczęli zaprowadzać wszędzie swój „porządek”, nasi księża przełożeni wezwali nas z powrotem do Lwowa. Rozpoczęliśmy tam kurs filozofii. Po jego ukończeniu dano nam kilka dni waka-cji. Następnie ze względu na warunki wojenne mieliśmy odbyć studia teologiczne w tempie przyspieszonym, aby nas jak najszybciej wyświęcono na kapłanów. Niestety, po pierwszej lekcji teologii zostałem aresztowany i wywieziony aż pod Archangielsk.*

Uwzględniając nowe dane o skutkach napadów ukraińskich nacjonalistów, liczba ofiar w byłym powiecie przemysłańskim wynosi łącznie 1769. W tym jest 1543 Polaków, 160 Ukraińców, 52 Żydów i czterech Rosjan. Zaledwie kilka osób z wykazu ofiar wyzdrowiało po zadanych ranach. Ponad 300 osób nie jest znanych z nazwiska (Polacy, Ukraińcy i Żydzi).

Ponadto Niemcy, niekiedy pod wpływem ukraińskich donosów, zastrzelili przynajmniej 30 Polaków i sześcioro Żydów. Większość jest znana z nazwiska. Lista ofiar napadów nie jest pełna i będzie uzupełniana w miarę napływu kolejnych danych.

Redakcja *SPOTKANIA ŚWIRZAN* nadal zbiera informacje o nowych, nieznanych dotychczas ofiarach napadów ukraińskich nacjonalistów, fotografie zabitych Polaków jak również dane uzupełniające (okoliczności morderstwa) do znanych już nazwisk. Nowe dane będą publikowane w na-

„Spotkania Świrzan” to niezwykle

$\langle \rangle$

Mój tato, Michał Jedynak, rzadko opowiadał o swoim dzieciństwie. Dla kogoś, kto urodził się w Chlebowicach Świrskich w 1929 roku, utracił matkę w 1940 roku, a w 1945 przyjechał z chorym ojcem i młodszą o 5 lat siostrą na ziemię zachodnie, nie był to najszcześniejszy okres w życiu.

Dlatego jestem Panu i Pańskiej żonie wdzięczna za „Spotkania Świerzan”. Jak to dobrze, że pismo to ukazuje się w formie cyfrowej! Znalazłam swoich przodków w „Wykazie dzieci ochrzczonych w parafii świrskiej”, a po-

Przesyłam Panu zdjęcie [poniżej - J.W.] ze szpitala polowego z okresu I wojny światowej. Jest na nim mój dziadek, Kazimierz Jedynak (ur. 1882 w Chlebowicach). Stoi w drugim rzędzie od góry, trzeci z prawej strony, ma poranione palce prawej dłoni. Czy nie wie Pan, gdzie to zdjęcie mogło być zrobione, w jakich bitwach brali udział żołnierze ze Świrza i okolic?

Nie wiem, czy jest Pan w stanie odpowiedzieć na te pytania. Ale jeżeli nie Pan, to kto? Niestety, osób, które można by było o to zapytać już nie ma. Jedynie w dokumentach, które gdzieś przetrwały można jeszcze odnaleźć minione fakty. Serdecznie pozdrawiam,

A large group photograph of approximately 60 men in military uniforms, arranged in several rows in front of a building with a large cross on the wall. The men are wearing various styles of uniforms, including tunics, tunics with arm bands, and tunics with leg bands. Some are wearing hats, while others are bareheaded. The group is posed in front of a light-colored building with a large cross on the wall. The photograph is a black and white print with a white border.

Żołnierze armii austro-węgierskiej z personelem w lazarecie.
Kazimierz Jedynak stoi w drugim rzędzie od góry, trzeci z prawej strony.

INFORMACJE

Posłowie ukraińskiego parlamentu przekraczają kolejne granice, nieprzekraczalne dla cywilizowanego świata. Najnowsza propozycja grupy deputowanych może zważyć z nóg.

Chodzi o to, by w przyszłym roku uroczystie obchodzić dzień „Aktu odrodzenia państwa ukraińskiego”. Dokument ten został przedstawiony przez J. Stećko (OUN (b)) i przyjęty przez delegatów tej organizacji 30 czerwca 1941 roku we Lwowie, gdy miasto było już zajęte przez Niemców. Ukraińscy nacjonaliści tego samego dnia dopuścili się w mieście pogromu Żydów; mieli też nadzieję, że Hitler zgodzi się na utworzenie państwa ukraińskiego. Zapewniali, że będzie ono jego sojusznikiem. On jednak nie chciał jednak słyszeć o żadnym marionetkowym państwie na wschodzie, dla słowiańskiego narodu. Stećko i inni liderzy OUN (b) trafili do obozu koncentracyjnego. (M. Wiśniowski www.strajk.eu, 21.09.2020)

+++++

Proboszcz parafii w Przemyślanach, ks. Piotr Smolka, zwraca się z prośbą o przekazywanie cennych informacji o historii parafii, pamiątek, fotografii i wspomnień. Należy je dostarczać na adres parafii.

Pan Andrzej Antonow powiadomił redakcję, że książka D. Markowskiego - „Ostatni dzień Hana-

czowa” będzie wydrukowana na jesieni przyszłego roku. Taką informację otrzymał od wydawcy.

+++++

W poniedziałek (12.10.2020 roku) szef Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej A. Drobowycz spotkał się w Kijowie z szefem Instytutu Pamięci Narodowej J. Szarkiem. Jak powiedział Drobowycz, strona ukraińska oczekuje przywrócenia tablicy pamiątkowej w Monasterzu w pobliżu Werchrały, w formie sprzed jej zniszczenia. Chodzi przede wszystkim o listę żołnierzy UPA, którzy zginęli w walce z NKWD.

+++++

Stacje ochrony roślin podały, że w pow. Przemyślański masowo wystąpiły szkodniki (mszyce) sadów żerujące na jabłoniach, śliwach a najwięcej na czereśniach. (*Gazeta Rolnicza* z 11.08.1933 r.)

+++++

W dniach 24-25 września br. w Lublinie odbył się III Kongres Środowisk Kresowych Rzeczypospolitej Polskiej, w ramach którego zorganizowano konferencję naukową „Kościół i Polacy na Wschodzie pod opieką św. Jana Pawła II i Sługi Bożego kardynała Stefana Wyszyńskiego”. Konferencja odbyła się w Collegium Jana Pawła II Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jednym z patronów honorowych tego wydarzenia był

Arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, rzymskokatolicki metropolita lwowski.

„Ten nacjonalizm, który panuje w Ukrainie, a w sposób szczególny w Kościele greckokatolickim, utrudnia nam swobodę [działalności]” – mówił abp Mokrzycki. Metropolita przypomniał, że Kościół katolicki na Ukrainie jest kojarzony z polskością, „więc trzeba ograniczać, przeszkadzać mu”. Arcybiskup spodziewa się, że nacjonalizm i uprzedzenia wobec Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie będą „powoli znikać” w związku z przyjazdami wielu Ukraińców do Polski. „Ta mentalność powoli będzie się zmieniała” – uważa metropolita lwowski.

+++++

Z Przemyślan donoszą: Powiatowa komenda przysposobienia wojskowego odbyła ćwiczenia pw w następujących oddziałach strzeleckich: dnia 13 lutego w Borszowie, Siworogach i Dąbrowie oraz dnia 14 lutego w Plenikowie, Wiśniowczyku i Zędowicach. (*Strzelec* organ Związku Strzeleckiego nr 11 z 1932 r.)

+++++

Lwowska rada obwodowa dofinansuje wydanie książki negującej udział Ukraińców w wymordowaniu polskiej wsi Huta Pieniacka w lutym 1944 roku. (www.Kresy.pl)

+++++

Przed ławą przysięgłych w Złoczowie odbyła się tymi czasy

rozprawa przeciw Rusinowi Mikołajowi Bundzy o zbrodnię zabójstwa, popełnioną na osobie Polaka, Franciszka Fijałkowskiego. Powodem zbrodni było odśpiewanie pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła*” przez trzech parobczaków Polaków w karczmie, podczas popasu w Strzelmiczu. Wywołało to pomruk obecnych w karczmie Rusinów.

Kiedy parobcy Polacy wyszli do fur, aby jechać do domu, Mikołaj Bundza, Rusin z Wyżnian, wyszedłszy razem, zaciął batem niejakiego Kasperskiego tak silnie po twarzy, iż krew puściła mu się z nosa, a gdy śp. Franciszek Fijałkowski przedstawił mu w sposób łagodny, że nie ma powodu do bicia, Bundza uderzył Fijałkowskiego biczyskiem trzy razy w głowę tak silnie, iż Fijałkowski wskutek krwotoku wewnętrznego w kilkanaście minut po zajściu życie zakończył. Ława przysięgłych uznała Mikołaja Bundzę winnym tylko przekroczenia ustawy o pijaństwie. (*Nowy Dzwonek* nr 12 z 19.03.1911 roku, str. 8.)

+++++

Poszukuję rodzin Chojnackich zwłaszcza Bronisława Chojnackiego zaginionego w czasie wojny i Kolabińskich oraz Kozłowskich byli oni mieszkańcami Przemyślan i sąsiedzkich wsi. Proszę pisać na adres: stanchoj@gmail.com.

+++++

+++++



**[Pożegnanie na zamku świrskim] Obraz Michaila
Dobryjanskiego.
Fotografia nadesłana do redakcji.**

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 150. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, IV 2021 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.

ISSN 2544-0012